

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“

(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnośzeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2, k. 50, rocznie rs. 10

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: *Polityka:* Stróż pokoju. — Z Austrii p. S. — Tydzień polityczny. — *Odcinek:* Wiek XXI. II. Restauracye w XXI wieku (według Bellamy'ego). — *Życie społeczne:* Ubezpieczenie pieczy macierzyńskiej p. J. Wojewódzkiego. — Sprawy zdrowia p. d-ra L. W. — Listy wiedeńskie p. Stwosza. — *Badania naukowe:* Kartki naukowo-artystyczne. — *Literatura i sztuka:* Literatura polska. Gawalewicz Maryan: Komedye p. Zyg. Plet. — Dwa salony p. Parisisa. — *Felieton:* Liberum veto p. Posła Prawdy. — Na widnokręgu p. Z. Atanazego. — Kronika. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

Szanownym abonentom naszym przypominamy termin odnowienia kwartalnej i półrocznej przedpłaty.

POLITYKA.

STRÓŻE POKOJU.

Jak wiadomo czytelnikom, od sejmu niemieckiego zażądano nowych milionów marek i nowych tysięcy ludzi dla wzmocnienia armii, która jakoby została w swej mocy prześcigniętą przez siły zbrojne mocarstw sąsiednich a zwłaszcza Francyi. Od lat wielu przy wszelkich podwyżkach budżetu wojskowego występuje ten argument, usprawiedliwiający żądanie ofiar a zarazem oświetlający Niemcy promieniami dążeń pokojowych, przyémionymi tylko potrzebą pamiętania o własnej obronie. Nie powiększamy naszej armii — mówią one — dopóty, dopóki nam nie grozi niebezpieczeństwo przewagi ze strony sąsiada: dojrzawszy je, musimy się ubezpieczać. Zawsze więc Niemcy grały rolę zniewolonych a nie dobrowolnych przodowników militarizmu. Poseł Richter, słusznie nazwany kiedyś „przeciwministrem wojny“, gruntowny znawca rzeczy wojskowych, wielokrotnie podawał w wątpliwość ową mniemaną przewagę sąsiadów, twierdząc, że ją właśnie wytwarzają i posiadają Niemcy; nigdy wszakże nie wykazał tego tak dowodnie, tak ściśle i niewzruszonem zestawieniem cyfr, jak teraz, obnażając bezzasadność żądania nowych dla armii zasiłków w pieniądzach i ludziach. Pomijamy szczegóły jego rachunku, przytoczymy tylko liczby ogólne i wnioski, które mają znaczenie wysoce pouczające. Otóż według Richtera, obecne rzeczywiste pogotowie wojenne podczas pokoju wynosi we Francyi 457,000 ludzi, w Niemczech zaś — 462,336, a zatem o 5,000

głów więcej. Co do wydatków, armia francuska kosztuje rocznie 504 miliony marek, niemiecka zaś 614 mil. m., zatem 110 mil. m. więcej. Jeżeli przeto rząd niemiecki wymaga 18,000 żołnierzy i 18,000 marek więcej, to bynajmniej nie dla „wyrównania się“ z pogotowiem francuskim, lecz dla przewyższenia go o 23,000 ludzi.

Nie dość na tem. Niemieccy ministrowie wojny po każdej podwyżce budżetu oświadczali dawniej, że na długo jest ona ostatnią. Ponieważ było to świadome lub bezwiedne kłamstwo, które im później wypominano, więc obecny minister nietylko nie powtórzył owego zapewnienia, ale przeciwnie zapowiedział dalsze przekształcania w armii i dalsze olbrzymie na nią wydatki. Wyraziwszy zamierzony plan owych „reform“ w cyfrach, Richter obliczył, że dotychczasowe pogotowie wojenne będzie podwojone i w czasie pokoju (1900 r.) dosięgnie cyfry 1,032,000, w czasie zaś wojny 6,566,000 głów. Przy 52 mil. zaludnienia kraju stanowi to będzie *czwartą* część ogólnej sumy mężczyzn, od niemowląt do starców, a 72% ludności męskiej dojrzałej, od 17 do 45 roku życia. Oprócz strat z przymusowej bezczynności takiego olbrzymiego zastępu ludzi, roczny koszt utrzymania ich dojdzie do 970 *milionów* marek. Dla zapelnienia tej strasznej otchłani podatki urosnąć muszą w stosunku ze 100 do 350.

Taka przyszłość czeka Niemcy a z niemi całą Europę. Są to cyfry wprost potworne i groźne już nie dla samego bytu ekonomicznego, ale dla bezpieczeństwa społeczeństw. Teorya Bismarka, według której „każdy żołnierz jest premią asekuracyjną pokoju“, gdyby nawet była słuszną w odniesieniu do stosunków zewnętrznych państwa, to jest niedorzeczną w odniesieniu do wewnętrznych. Bo czyż można przypuścić, ażeby trzymanie pod bronią czwartej części mężczyzn zdolnych do pracy i wydawanie bez pożytku 970 milionów marek rocznie, mogło nie wytwarzać żywołów i wrznię prze-wrotowych? Czyż to nie jest drażnienie w masach instynktu samozachowawczego?

Moltke powiedział, że niebezpieczeństwo wojny spoczywa nie w rządach, ale w narodach; więc czy należy je jątrzyć i doprowadzać do rozpacz? Rząd niemiecki wierzy w bezgraniczność i bezdenność lojalizmu swych poddanych — niech więc go wystawia na dalsze próby. Niech wszakże nie okłamuje świata zapewnieniami, że jest szczerem stróżem i orędownikiem pokoju, że potęguje swój militarizm z konieczności wyrównania swym sąsiadom. On bowiem idzie tą drogą ciągle na przedzie, on wytwarza przewagę, która innych zmusza do naśladowania go i wytyżania sił swoich. Rachunek porównawczy Richtera nie zostawił pod tym względem żadnej wątpliwości, zdarł maskę obłudy i ukazał nam Niemcy jako państwo, niezmordowanie pracujące nad niepokojem świata. Jeżeli tedy Europa nie chce się wycieńczyć aż do zupełnego omdlenia, powinna złamać potęgę niemiecką i podwiązać te otwarte arterye, z których militarizm wypuszcza jej krew. Jak przekonywamy się z ostatnich projektów wojskowych, Niemcy nie zatrzymują się w uzbrojeniach dobrowolnie, trzeba więc je do tego zmusić. A można to uczynić nawet bez wojny; bo dla czegożby państwa zgodnie nie miały określić najwyższej liczby wojska, jaką każde z nich utrzymywać może? Dlaczego taki nacisk, dotąd wywierany na słabych, nie miałby być zastosowanym do silnych?

Z AUSTRII.

Epilog ugody indemnizacyjnej. — Walka ministrów. — Dzieje ugody czesko-niemieckiej. — Powstanie partii słowiańskiej w parlamencie austriackim.

Zanim ugoda indemnizacyjna nabrała znaczenia obowiązującego państwo, Izba panów położyła na niej swą pieczęć. Hr. Belcredi, jako prezydent trybunału administracyjnego, gruntowny tej sprawy znawca, długim wywodem historyczno-prawniczym stwierdził słuszność pretensyj galicyjskich, opartych na patencie z r. 1848,

niezmienionym przez żadne z następnych rozporządzeń. Prawdopodobieństwo wygrania procesu przed trybunałem państwa, według Belcrediego, byłoby minimalnem dla rządu, a że w r. 1898, kiedy ten proces rozpocząć można, chodziłoby jeno o 100 milionów, przeto w interesie państwa leży przyjęcie ugody.

Natomiast wywody Jaworskiego i Ma-deyskiego w Radzie państwa, odnoszące się do gospodarki biurokracyi austriackiej w Galicyi, wywołały silną w Izbie panów opozycję; doczekały się one krytyki zacie-tej, lecz wcale niepozabawiającej ich racyi. Wpływa to już z tej jednej okoliczności, że obaj oponenci, słynny historyk Arneth i nestor biurokracyi austriackiej, Plener, na jednym tylko opierali się argumente, którego niedostateczność bije w oczy. Jak-
to — wołali — wy śmiecie podejrzywać rzetelność administracyi, na której czele stali ludzie, jak hr. Lobkowie, jak ojciec hr. Taaffego, a nawet książęta domu habsbur-
skiego? Liberalowie, broniący urzędników z czasów ucisku w imię patryotyzmu au-
stryackiego, istotnie tym jednym tylko wal-
czyli mogli dowodem, gdyż to, co niemieccy
pisarze liberalni, jak Hammer, Hellmuth
i inni pisali o gospodarce tych urzędników
od r. 1772 do 1860, bynajmniej posłużyłoby
nie mogło jako materiał przedmiotowy dla
fałszywego ich patosu. Powoływanie się zaś
na uczciwość najwyższych przedstawicieli
rządu w Galicyi, jest chyba świadomem
mamieniem opinii Izby, z jednej strony bo-
wiem pod kierownictwem najuczciwszych
namiestników zepsuta maszyna administra-
cyjna mogła kraj wyzyskiwać, z drugiej —
namiestnicy ci, trzymając się polityki wy-
znawanej w Wiedniu, z dobrą wiarą mogli
niszczyć kraj, by przysłużyć się państwu.

Po raz wtóry już w ubiegłym okresie
parlamentarnym minister Dunajewski zmu-
sił opozycję niemiecko-liberalną, aby mu
przyklasnęła. Uczyniła ona to ostentacyj-
nie, aczkolwiek z dość kwaśną miną, kiedy
obdarzył Wiedeń zniesieniem linii akcyzo-
wych, a tem samem rozszerzył stolicę aż po
kraj Wienerwaldu. Uczynić to musiała i o-
becnie, kiedy Dunajewski z bezwzględno-
ścią właściwą sobie wystąpił w Izbie pa-
nów przeciw społecznemu programowi Fal-
kenhayna, wygłoszonemu w parlamencie.
Minister rolnictwa niepomierne wywołał
był zdumienie, kiedy z niewinnych ust jego,
przyzwyczajonych do prawienia o filokse-
rze, rogaciznie i nierogaciznie, usłyszano
znienacka program reform społecznych,
głoszony zazwyczaj przez zjednoczonych
chrześcijan pod „złotem sitem“: żądał on

utworzenia cechów, zastrzegając się prze-
ciw organizacyi stanu czwartego. Ostrzegał
przed uwielbieniem złotego cielca kapitali-
zmu, zaznaczając zarazem, że nie jest by-
najmniej jego przeciwnikiem. Zapytywano
w parlamencie, czy jest to istotnie życze-
niem całego rządu, aby w miejsce indywi-
dualnych usiłowań ekonomicznych wstąpiła
praca stowarzyszona, normująca miarę
i formę produkcji, wysokość cen i płacy,
a nawet ilość członków korporacyi. Odpo-
wiedzi udzielił Dunajewski. Kiedy w Izbie
panów hr. Knefstein za przykładem Fal-
kenhayna powtarzać zaczął ulubione zwroty
feodałów o wielkim kapitale, pożerającym
drobne rzemiosła, zwroty mające zważyć ca-
łą winę obecnych niedostatków ekono-
micznych na kapitał, a zamaskować ekono-
miczną szkodliwość latyfundiów. Dunajew-
ski z całą swą ciętością i gryzącą ironią
wystąpił przeciw Knefsteinowi, celując
wprost w Falkenhayna. Co prawda, nie na
wszystkie argumenty, przytoczone przez
niego, zgodzić się może postępowy przeci-
wnik programu konserwatywno-socjalisty-
cznego; bądź co bądź jednak były w prze-
mowie jego ustępy, które zasługują na peł-
ne uznanie: według Dunajewskiego, rząd,
zajmujący pozycję zawisłą, niema prawa
występowania z systemem przeciwnym ca-
łości stosunków istniejących. Do przewrotu
społecznego i państwowego nie posiada ani
siły, ani chęci, ani powołania. Podnosił on
znaczenie chrześcijaństwa — pod hasłem bo-
wiew chrześcijaństwa walczą feodalni ci so-
cyaliści — dlatego właśnie, że ono wytwo-
rzyło szacunek dla indywidualizmu, swobo-
dy i odpowiedzialności jednostki. Rząd pa-
ństwa o cywilizacyi zachodniej musi i powin-
ien uszanować samoistość i wolność indy-
widualną.

Przemowa Dunajewskiego była publi-
czną lekcją, udzieloną hr. Falkenhaynowi.
W każdym innym gabinecie dwaj ci mini-
strowie nie mogliby nadal wspólnie zasia-
dać. W Austrii inaczej. Hr. Falkenhayn
dąsa się wprawdzie, ale zostaje.

Wytrzymłość gabinetu obecnego jest
istotnie zdumiewającą. I hr. Taaffe w ciągu
dni ostatnich miał ustąpić, ale także zosta-
je. Ugoda czesko-niemiecka, na której opie-
rała się przyszłość jego stanowiska, zaczy-
na się rozbić: organy hr. Taaffego zazna-
czyły wyrażnie, że on, zaangażowawszy się
wobec cesarza, nie może pozostać na czele
rządu, skoro układ do skutku nie przyjdzie,
lecz Czechów groźba ta nie przeraziła, a hr.
Taaffe zażył tabaki, uśmiechnął się i jest,
czem był. Jeszcze podczas obrad parlamen-
tu doczekali się Niemcy niemiłej niespo-

dzianki, kiedy Rygier, party przez agitację
młodoczechów i oburzoną opinię ludu, o-
świadczył w dyskusyi budżetowej, że od za-
sadniczych warunków układu do przepro-
wadzenia ich długa wiedzie droga, kiedy
następnie Zucker, również przedstawiciel
staroczechów, głosił, że przyjęcie punkta-
cyj jest rzeczą podrzędną, główną zaś —
uczucia ludu. Minister Schönborn wówczas
już zauważył, że staroczesi łamią zawiesze-
nie broni, zanim go dokonano. Całkowicie
zaś wyjaśniły się słabe widoki zgody pod-
czas obrad sejmiku czeskiego, w których po-
raz pierwszy brali udział posłowie czesko-
niemieccy. Ze strachem wzrastającym cią-
gle widzą Niemcy, że czesi niweczą układ
polityką przewlekania. Jeden wnosi zawie-
szenie rozpraw, drugi — wybór komisyj,
trzeci — rozstrzygnięcie kwestyj formal-
nych. Najtęższy klin wbili młodoczesi twier-
dzeniem, że wszystkie ustawy i rozporzą-
dzenia, oparte na ugodzie, równocześnie
przedstawione być winny cesarzowi do
sankcyi. Daremnie więc przyspieszono roz-
prawy w parlamencie, daremnie zwołano
sejm czeski jeszcze przed delegacyami-
uchwały większości, zatwierdzające punk-
tacje wiedeńskie, mają wejść w życie wów-
czas dopiero, kiedy wypracowane będą
wszystkie bez wyjątku rozporządzenia. Lo-
jalnego przyjęcia, zapowiedzianego przez
ks. Lobkowicza, nie znaleźli Niemcy w sejm-
ie; czesi są silniejszymi i postępują sobie
jak silniejsi. Przewlekając z jednej strony
traktowanie samych punktacyi w pełnym
sejmie, z drugiej strony w komisji ze zdumie-
wającą szybkością przeprowadzili uch-
wałę, że we wszystkich okręgach cze-
skich używaniem być ma nadal język czeski
jako urzędowy. Uchwała ta, sprawiedliwa
bezsprzecznie, w jawnej pozostaje sprze-
czności z ugodą wiedeńską, obowiązującą
oba stronnictwa do zawieszenia broni
w walce językowej na czas, póki po prze-
prowadzeniu urzędów, warunkami umowy
objętych, sytuacja zupełnie jasności nie na-
brała.

Oto pokrótce dzieje pougodowe, o ile ja-
wnie na scenie politycznej się odgrywają.
Ze zgrozą patrzą na nie Niemcy, wszech-
władni niegdyś w Austrii; a zgroza ich
wzrosła znacznie, gdyby zrozumieli, co
się odgrywa po za kulisami. Kiedy w par-
lamente wiedeńskim walczone o indemni-
zację galicyjską, okazało się, że istnieje
większość słowiańska, która opanować mo-
że sytuację niezawisłe od Niemców i klery-
kałów, skoro polityczne jej odłamy porozu-
mieć się zdołają. W sprawie ugody inde-
mnizacyjnej porozumienie to nastąpiło: gło-

2)

WIEK XXI.

II.

Restauracye w wieku XXI

(według Bellamy'ego*).

W ciągu dnia padał deszcz ulewny i uli-
ce musiały być pełne błota. Pomimo że
dom obiadowy znajdował się w pobliżu, są-
dziłem jednak, że moi gospodarze zanie-
chali zamiaru udania się do niego. Byłem
więc mocno zdziwiony, kiedy w porze obi-
adowej panie zjawily się gotowe do wyjścia,
lecz bez kaloszy i parasolów.

Zagadka została wyjaśniona, kiedy zna-
leźliśmy się na ulicy. Chodniki były nakry-
te długim i nieprzemakalnym dachem o-
chronnym, zamienione na pewnego rodzaju
korytarz, wzdłuż którego mężczyźni i ko-
biety tłumnie śpieszyli na obiad. Na rogach
po nad ulicami były rzucone lekkie mostki,
również osłonięte od deszczu. Szedłem obok
Edyty, którą niezmiernie bawiło moje opo-

wiadanie, że za dawnych czasów po ulicach
Bostonu mogły chodzić w niepogodę tylko
te osoby, które zaopatrzyły się w parasol,
kalosze lub płaszcz nieprzemakalny.

— Czy wtedy nie było jeszcze pokryć
wzdłuż chodnika? — zagadnęła.

— Odrzekłem, że tu i owdzie można je było
widzieć, ale tylko na przestrzeni pojedyn-
czych domów. Objaśniła mnie, że obecnie
wszystkie ulice podczas złej pogody są okry-
te taką zwijającą się osłoną. Uważano by za
rzecz nie do przebaczenia, gdyby pogoda
miała wywierać jakiś wpływ na ruch
miejski.

Dr. Leete, który siedł na przodzie, posły-
szał naszą rozmowę. Zwrócił się do nas i za-
czął dowodzić, że cała różnica pomiędzy
okresem indywidualizmu a kooperacyi wy-
stępuje przewybornie chociażby w tym je-
dnym fakcie, iż bostończycy wieku XIX
podczas deszczu rozpinali trzysta tysięcy
parasolów, w wieku zaś XXI jeden dach
ochronny rozpostarł się nad głowami wszy-
stkich.

W dalszej drodze Edyta opowiedziała mi,
że parasol jest ulubionym wzorem, używa-
nym przez ojca dla scharakteryzowania da-
wnych zwyczajów, kiedy to każdy tro-
szczył się wyłącznie o siebie i swoją ro-
dzinę.

— W naszej galeryi — mówiła — znaj-
duje się obraz z wieku XIX, który przed-
stawia tłum podczas deszczu. Każdy trzy-
ma parasol nad sobą i żoną, strzając wodę
na sąsiada. Ojciec myśli, że jest to ze
strony malarza satyra na stosunki ów-
czesne.

Z tłumem weszliśmy do olbrzymiego
gmachu. Z powodu dachu ochronnego nie
mogłem przyjrzeć się frontowi, ale jeżeli
odpowiada on wnętrzu, które przewyższa
o wiele wczoraj odwiedzony przeze mnie
skład towarowy, to powinien wyglądać
wspaniale. Udał się na schodach na górę
i znaleźliśmy się w długim korytarzu,
na który wychodziło mnóstwo drzwi. Nad
jednymi widniało nazwisko mojego gospodar-
za. Tutaj weszliśmy. Był to elegancki
pokój stołowy ze stolikiem na cztery na-
krycia. Okna otwierały się na podwórze;
wodotrysk wysoko rzucał wodę; słychać
było dźwięki wesołej muzyki.

— Zdaje się, jak gdybyśmy byli w wła-
snym domu — rzekłem, siadając, do dr-
Leete, który nacisnął guzik dla przywoła-
nia służby.

— Istotnie, znajdujemy się w pewnej
części naszego mieszkania, nieco więcej od-
dalonej od reszty, odpowiadał. Każda ro-
dzina dzielnic posiada w tym olbrzymim

*) Patrz numer poprzedni.

sowali konserwatywni z postępowymi, staro-
roczesi z młodoczechami i ugoda przeszła.
Na tym gruncie kilku dzielnych posłów pol-
skich i czeskich rozwinęło akcję, która
w razie powodzenia zmieni wewnętrzne sto-
sunki polityczne w Austrii na korzyść sło-
wian. Wszystko temu rokuje powodzenie.
Młodoczechy porozumieli się o wiele rychlej
ze staroczechami, aniżeli z niemcami, a po-
stępowanie ich w sejmie jest niemal zupeł-
nie solidarnem; hardość zaś zjednoczonych
czechów na tem się opiera, że posłowie pol-
scy przyrzekli im pomoc w parlamencie.
Dlaczegożby więc czesi dobrowolnie usta-
pić mieli niemcom cośkolwiek ze swych
praw i władzy, skoro otwierają im się szan-
se zachowania ich w całości? Pozorny układ
przyjdzie do skutku, z tej jednej przyczy-
ny, że cesarz zaprosił był uczestników kon-
ferencji ugodowych na obiad do zamku;
lecz będzie to istota polityczna nieżywo
urodzona. Sejm przyjmie umowę, lecz zgo-
da czesko-niemiecka rozbiła się; z gruzów
jej powstała budowa bardziej organiczna—
ugoda czesko-polska.

S.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Bismark nawet teraz po ustąpieniu zbiera
dowody, do jakiego stopnia był on hypno-
tyzerem a Niemcy jednym wielkiem jego
medium. Bo wyobraźmy sobie, że jakiś in-
ny minister dymisjonowany przyjmuje u
siebie korespondentów, z którymi najdalsze
stosunki uważane były za zdradę kraju, że
odslania przed nimi tajemnice sprawowane-
go urzędu, że dyskredytuje działania swego
monarchy, nazywając jego podróz do Tur-
cyi niewłaściwą, a konferencję robotni-
czą — „uderzeniem w wodę“, że przedsta-
wia się jako ofiara intrygi, że ma nadzieję
usłużenia jeszcze ojczyźnie — naturalnie
wbrew woli cesarza, wyobraźmy sobie to
wszystko a łatwo odgadniemy, co by z ta-
kiem zachwaleństwem zrobiono. Tymczasem
Bismark, jak St. Just, powiada: „trzeba
tylko śmieć“ i drwi z gromów, które każde-
go innego by zgnioty a jego nawet nie dra-
snęły. Wypowiadał on się znowu przed
korespondentem paryskiego *Petit Journalu*.
Jak zwykle, nie kłopotując się o dobór po-
równań, oświadczył, że znajduje się w po-
łożeniu obrażonego ojca, który jednak swe-
go syna (cesarza) uważa za dzielnego
„chłopca“, że Wilhelm II jest młodym i go-
rącym koniem, który nie mógł zgodzić się
w zaprzęgu z nim, starą szkapą itd. Przy-

zwoitość tych dosadnych wyrażań musiała
na dworze sprawić dziwne wrażenie — ale
zbuntowany sługa już o pana nie dba. Obie-
cuje, że przyjmie mandat do sejmu i tam
będzie „bronil swoich przekonań.“ Tym-
czasem chodzi znudzony po lesie, odzwy-
czając się od polityki, przed kilku dniami
wyjechał do Hamburga, któremu zawdzię-
cza najwięcej sympaty i podarków, a za-
mierza zrobić wycieczkę do Anglii. Synek
zaś jego Herbert wpadł do Paryża i ode-
grał przed kilkoma dziennikarzami rolę oj-
cowskiej papugi i małpy. Charakterysty-
cznem jest to bratanie się Bismarków
z francuzami, których dotychczas chrzcili
tylko mianem „dziedzicznych wrogów.“

Wilhelm II szybko wyreparował się ze
zwichnięcia nogi i rany po wypadnięciu
z powozu. Odbywa już wycieczki konne.

Następca zmarłego arcybiskupa Dindera
został biskup Likowski. Czy polityka ko-
ścielna z tą zmianą zwróci się w innym kie-
runku — nie wiadomo. Wątpimy.

Sejm czeski, nie doszedłszy do żadnego
ładu i końca w sprawie ugody, zawiesił
swoje obrady i otworzył pole manewrom
zakulisowym, które zapewne rozegrają się
pomyślniej, gdy rząd rzuci swój bijący
wszystkie karty atut — cesarza.

Następca tronu włoskiego przybył do Pe-
tersburga, powitany i ugoszczony z wielką
serdecznością. Po tych odwiedzinach Wło-
chy spodziewają się znacznej poprawy sto-
sunków z Rosją.

Proces Panicy wreszcie ukończono. Sam
on skazany został na śmierć, ale przedsta-
wiony do ulaskawienia; współnik jego Ka-
lubkow na 9-letnie więzienie, inni na kożę
z krótszym terminem.

W Bawaryi ustąpił prezes gabinetu mi-
nister Lutz, który kielznał zapędy ultra-
montańskie; jednocześnie stronnictwo kle-
rykalne zwyciężyło przy wyborach do rad
prowincjonalnych w Brukseli. Czarnym
wiedzie się coraz bardziej.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

USPOŁECZNNIENIE PIECZY MACIERZYŃSKIEJ.

Filister bardzo chętnie drwi z utopistów,
wyrwywających się z ciasnego zakresu tra-
dycyjnych stosunków na jakąś szerszą wi-
downię; lecz rozwój społeczny jeszcze nieli-
tościwszej chłößeie poddaje bezwładność

umysłową panów majstrów zdrowego roz-
sądku, co więcej, wystawia ich na próbę
przykrzejszą — wcielania w życie rękami
i wbrew własnej woli wysmiewanych ma-
rzeń. Właśnie stoimy wobec podobnego
faktu w zakresie tegoczesnej rodziny, tej
nieodzownej a najważniejszej podwaliny po-
rządku społecznego — jak twierdzi ciasno-
ta dziejowa, widzająca nie w reprodukcji
gatunku warunek istnienia gromad ludz-
kich, ale jedynie i wyłącznie w szcze-
gólnej formie związku rodzinnego. Natu-
ralnie, prawo rodziców do znęcania się i pa-
stwienia nad młodem pokoleniem należy
do niezbędnych właściwości tej podwaliny;
również porządek społeczny ma zaginąć,
jeśli matka przestanie systematycznie speł-
niać rolę maszyny do ucierania nosa swoim
dzieciom. A tymczasem jak gdyby na prze-
kór rozwój stosunków częstą po częstce
odsyla do archiwum dziejowego, te wszyst-
kie niezbędne obowiązki lub prawa rodzi-
cielskie. Posiadamy już dość obfity mate-
ryał w tym względzie. Nie przedstawia on
jeszcze obrazu wykończonego, jest raczej
zebrany dorywczo z nader znacznymi luka-
mi. Ale i nasz krótki artykuł bynajmniej
nie chce zakrawać na studium wyczerpu-
jące; jest on tylko przedstawieniem rozpro-
szonem dążności dzisiejszych na polu wy-
chowawczem. Mówiąc o przekształcaniu
się tegoczesnej rodziny, w żaden sposób
nie możemy oprzeć się na faktach pojedyn-
czych i nazbyt nielicznych, tembardziej zaś
na zjawiskach, wypływających z jakiegoś
newropatycznego kaprysu lub warunków
zamożności materialnej. Wolno nam wziąć
pod uwagę tylko te objawy, które wynikają
z ogólnego prądu rozwojowego chwili, są
koniecznością dla ogromnej części człon-
ków społeczeństwa, tak iż zostają wcielane
często wbrew panującym poglądom i zycze-
niom. Otóż w takim a nie innym położe-
niu znajdują się różne urządzenia, zgarnia-
jące do siebie działwę już od trzeciego roku
życia w najrozmaitszych okolicach z wię-
kszym ruchem przemysłowym. Mamy przed
sobą zbiorową pracę dwu kobiet w języku
francuskim w sprawie tak zwanych *écoles
maternelles* — „szkół macierzyńskich.“ Mię-
dzy innymi spotykamy nagłówek: Obowią-
zki matki względem dziecka. „Matka winna
zajmować się wychowaniem swojego dzie-
cka, winna zaś dlatego, że macierzyństwo
nie może kończyć się na materialnym a
brutalnym czynie rodzenia, lecz polega je-
szcze na wypełnieniu wszelkich obowią-
zków codziennych, wszelkich niepokojów
tak bolesnych i radości tak upajających;
winna to czynić jeszcze idlatego, że jedynie

— A jednakże niepodobna się było obejść
bez tych usług — dodała Edyta.

— Naturalnie — odrzekłem — lecz wkła-
daliśmy je na barki nędzarzy, którzy ina-
czej musieliby umierać z głodu.

— I zwiększaliście jeszcze nieprzyjem-
ność takiego stanu waszą pogardą — zau-
ważył dr. Leete.

— Obawiam się, żeś mnie pan nie zrozu-
miał — podjęła Edyta. Czy chciałeś powie-
dzieć, że kazaliście spełniać komuś nieprzy-
jemną robotę i przyjmowali usługi, lecz nie
nie dawaliście w zamian? Wszak nie jesteś
pan tego zdania?

Musiłem wytłumaczyć, że działo się nie
inaczej. Dr. Leete pospieszył mi z pomocą.

— Ażeby można było pojąć zdziwienie
Edyty, potrzeba, żebyś pan poznał pierwsze
i najgłówniejsze przykazanie naszej moral-
ności. Żądać od kogoś jakiejś usługi i nie
chcieć mu odwzajemnić się podobną — ta-
kie postępowanie uważalibyśmy za zaciąg-
anie pożyczki bez zamiaru zwrotu. Zmu-
szanie kogoś do takiej usługi dzięki temu,
że ten ktoś znalazł się w położeniu rozpa-
czliwym, utożsamilibyśmy z jawnym rozbo-
jem. Stępienie wrażliwości względem ogółu
społecznego jest najgorszym następstwem
podziału klasowego i kastowego. Nierówne
rozemieszczenie bogactwa, oświaty i wy-

budynku oddzielny pokój do swego wyłą-
cznego użytku, płacąc za to nieznaczne ko-
morne. Sale dla przejezdnych lub pojedyn-
czych osób znajdują się na innym piętrze.
Kiedy chcemy obiadować tutaj, czynimy
zamówienie wieczorem, wybierając potra-
wy według spisu, codziennie pomieszczane-
go w gazetach. Obiad może być prosty lub
bardziej wyszukany, stosownie do życzeń,
lecz w każdym razie kosztuje taniej i jest
lepszy, niż gdybyśmy go sami przygoto-
wywali w domu. Moi rodacy interesują się
wielce doskonałością kuchni i przyznam
się, że jesteśmy nieco dumni z powodzenia
w tej mierze. Niektóre strony waszej cy-
wilizacji mogły być tragiczniejsze, lecz nie
nie działało chyba bardziej przynębiająco
nad skromne posiłki, na które skazani
byli ludzie z małymi środkami.

— Tym razem wszyscy zgodzilibyśmy się
na zdanie pańskie — dodałem.

Zjawił się kelner, przyjemnej powierzch-
owności młodzieniec w prostym ubraniu
posługującego. Po raz pierwszy widziałem
członka wielkiej armii robotczej, przyglą-
dałem też mu się bacznie. Powiedziano mi, że
młody ten człowiek otrzymał dobre wycho-
wanie i społecznie stał na tym samym po-
ziomie, co osoby, którym usługiwał. Tym-
czasem, o ile można było sądzić, zachowa-

nie z obu stron nie zdradzało, aby się kę-
powano wzajemnie. Dr. Leete mówił tonem
pośrednim pomiędzy prośbą a rozkazem,
młody zaś człowiek spełniał polecenia chę-
tnie i bez poufałości. Było to jakby zacho-
wanie się szeregowca w armii, lecz bez mi-
litarnej tresury. Gdy wyszedł, nie zdołałem
powstrzymać się od uwagi, jakim sposobem
podobnie wychowany człowiek może tak
chętnie wypełniać swe obowiązki lokaj-
skie.

— Lokajskie? Cóż to za słowo? Nigdy go
nie słyszałam! — przerwała Edyta.

— Jest to wyraz przestarzały — tłoma-
czył jej ojciec. Jeśli się nie mylę, używano
go względem osób, zajmujących się szcze-
gólnie nieprzyjemnymi robotami i usługami,
a nadto jeszcze w pewnym innym, prze-
nośnem a pogardliwym znaczeniu. Czyż tak,
panie West?

— Mniej więcej tak, jak pan wyjaśni-
łeś — odpowiedziałem. Osobiste usługi, np.
podawanie obiadu, uchodziły za lokajskie
i były tak pogardzanymi, że wykształcone
i szanujące się osoby gotowe byłyby raczej
wszystko przenieść, aniżeli poniżyć się do
tego.

— Istotnie, cudackie zapatrywanie! — za-
wołała pani Leete.

ona może otoczyć dziecko bezustannemi a troskliwemi staraniami, wymaganiami przez niemoc fizyczną. Słowem, matka *winna* wychowywać dziecko, a państwo, jeśli umożliwia jej usuwanie się od tych długów, jeśli zachęca ją do wyzbycia się z najszlachejniejszego obowiązku, moralnie ją poniża, przyczynia się do rozluźnienia węzłów rodzinnych i pozbawia niemowlę wszystkiego, co opromieniłoby jego lata młode — swobody i tkliwości. Z tego punktu widzenia szkoła macierzyńska jest istnem przekleństwem i państwo, które pomieściło w rocznym budżecie kwotę 5 milionów franków na ten cel, staje się obłąkańcem i zbrodniarzem. „Jasno a wyraźnie. Ze zdziwieniem też widzimy, że po ostatnim tylko co przytoczonym zdaniu ukazują się nowe, wydrukowane wielkimi czcionkami: „A jednak ta szkoła macierzyńska jest dzisiaj nieodzownym a pożytecznym urządzeniem!“. Dlaczego? Po pierwsze: „warunki ekonomiczne, konieczność przyniesienia do domu zarobku na swoje i swojej rodziny utrzymanie, w wielkich miastach i znacznych ogniskach przemysłu, brutalnie odrywają kobietę od zajęć domowo-gospodarskich. Z tego powodu dla dziatwy warstw robotniczych szkoła macierzyńska staje się konieczną, co więcej, jest dobrodziejstwem.“ Powtóre należy zawsze pamiętać, że jakkolwiek prawie każda kobieta rodzi się z uzdolnieniami niezbędnymi do wydania na świat nowego okazu ludzkiego, nie każda jednak umie i chce spełniać obowiązki wychowania. W domach zamożnych znajdzie się płatna zastępczyni powinności mateczynych, ale wśród warstw pracujących cały ciężar, z braku u matki odnośnych zdolności, spada na biedne dziecię.

Znamy więc przyczyny, dzięki którym dziecko niezamożne, pozbawione już słońca i dostatecznego pokarmu, zostaje jeszcze oderwane od matki i oddane wraz z innemi pod opiekę obcej kobiety. Rozwijanie się odpowiednich instytucyj, znanych pod najrozmaitszymi nazwami (Kinderbewahranstalti Kleinkinderschule w Niemczech, infant school w Anglii, école maternelle we Francji), weszło już dzisiaj na drogę, zasługującą bezwarunkowo na kilka słów wzmianki. Musimy jednak poznać w krótkości i przeszłość. Jako jedno z pierwszych wystąpiły miłosierne dusze filantropów, tych gorliwych pracowników w wynajdywaniu środków, aby ktoś, posiadający nader mało zasobów do utrzymania się, mógł wydawać jeszcze mniej i w ten sposób zniżyć swoje wymagania na rynku pracy i odpowiednio zgnębiać swoim współzawodnictwem le-

piej uposażonych towarzyszków niedoli. Potrzeba było dla tłumów niefachowych, *unskilled labourers* — jak powiada anglik, znaleźć sposoby taniego wyzycia, a wynaleziono zupełne rumfordzką; należało odjąć od zarobku część, idącą na wynajęcie stałego dachu nad głowę — i ukazały się filantropijne przytulki; wreszcie trzeba było zwolnić matkę od troski o niemowlę, aby mogła współzawodniczyć z mężem — powołano do życia odnośne urządzenie. I jakkolwiek sprawa ta może wyglądać w innem oświeceniu, posiada wszakże jedynie takie a nie inne znaczenie społeczno-ekonomiczne. Rzecz ciekawa, że wraz z filantropijnymi ochronkami pojawiły się podobne zakłady w fabrykach, a jak wiadomo — niema najmniejszych powodów wierzyć wraz z płatnymi reklamistami, aby ta ofiara była wyjawem, niewymagającym odpowiedniej wzajemności. Przeciwnie temu świadczy i ta okoliczność, że ochronka fabryczna stała się niemal zasadą w każdym przedsiębiorstwie, o ile ono zatrudnia wiele kobiet. Chodzi wprost o to, aby dając opiekę dziecku, jednocześnie wyrządzić matce inne dobrodziejstwo — owiecznia mięśni w pracy pozadomowej. Lecz te środki prywatno-patryarchalne starczyły póty, dopóki żądań było mało lub póki szło o jakieś ustronie przemysłowe. Tymczasem w wielkich ogniskach przemysłu postać rzeczy zupełnie się zmienia. W tych miejscach armia odwodowa najmicka, żądna, lecz nieposiadająca zarobku, jest zbyt liczną, i natłok kobiet na rynku pracy olbrzymi. Tutaj sam zakład niema już najmniejszego powodu łożenia na ochronki i odgrywania tak nieprzypadającej mu do twarzy roli opiekuna, kandydatek bowiem zawsze się znajdzie mnóstwo, przekładających pozostawienie dziecka bez opieki nad pozostawienie go bez pokarmu. Zjawia się konieczność wdania się władz publicznych. I oto jesteśmy u progu wytworzenia się szczególnego szkolnictwa — dla dzieci, które zaledwie nauczyły się chodzić po ziemi. Dzisiejsza chwila jest właśnie epoką takiego unarodowienia w wychowaniu. Dorywczy nasz przegląd postępów w tej mierze zaczniemy od Stanów Zjednoczonych, tej krainy humbugów, lecz jednocześnie i olbrzymich dowiadeczeń społecznych. Istnieją tutaj tak zwane *she-towns*, po naszymu niby „miastababie“, w których na 51 kobiet posiadających zajęcie przypada jedynie 35 mężczyzn pracujących. Wobec tego muszą też istnieć szkółki, zastępujące opiekę mateczyną. Sprawozdanie bostońskie z 1889 r. głosi, że w tem mieście municypalność utrzymuje

już dzisiaj swoim kosztem 19 ogródków dzieciennych z 32 wychowawczyniami. Dla dozoru nad temi urządzeniami, dla dalszego rozwoju itd. ustanowiono szczególny urząd: Kindergarten-Committee wraz z odpowiednimi kursami dla kształcenia i wyrabiania nauczycielek. Co godniejsza uwagi, wychowawczynie z ogródka, to istna druga matka, nietylko dozoruje dzieci podczas bytności ich w szkółce, lecz obowiązana jest stale uczęszczać do domów rodzicielskich, zachęcać, aby dziecko chodziło regularnie do zakładu i nawet wpływać i pokonywać opór rodziców. W innem mieście, w Saint-Louis już w 1883 r. znajdowało się 64 ogródków dzieciennych na utrzymaniu municypalnym. A w jednym i drugim przypadku unarodowienie nastąpiło wtedy, kiedy już filantropia z fabryką dały początek, łapczywość zaś przedsiębiorcza poczęła z nianczenia i dozorowania dzieci czynić poważne źródło dochodów, naturalnie z uszczerbkiem dla zdrowia wychowanców. Dzisiaj ta sprawa już tak stoi w Stanach Zjednoczonych, że zaczynają powszechnie mówić o tem, aby przy każdej elementarnej szkółce publicznej istniały niezbędnie niższe oddziały ogródków dla dziatwy od roku trzeciego.

I w Europie rozwój w tym kierunku idzie niemniej silnie. W jednej Szwajcarii ogródków dzieciennych znajduje się 544, nie o wiele mniej, niż u nas szkółek wiejskich. Zwłaszcza daleko posunęły się Anglia i Francja. W Londynie, przy każdej publicznej szkółce elementarnej znajdziemy salę z napisem: oddział drobnych dzieci (*infant department*). Roztwórzmy drzwi a zobaczymy na podłodze mnóstwo dzieciaków, tak małych, że niepodobna sadzać je na ławki. Sprawozdanie urzędowe z r. 1888 głosi, że 6,511 „uczniów“ nie miało jeszcze lat 3 wieku. Dość powiedzieć, że obecnie już 50% całej dziatwy w wieku lat 3—7 uczęszcza w Anglii do takich ogródków publicznych. „Infant schools (podobne zakłady prywatne noszą nazwę niemiecką: Kindergarten) stanowią tam już dzisiaj podobnie nieodłączną część każdego porządnego zakładu szkolnego, utrzymywanego przez parafię, jaką jest szkółka dla dzieci w wieku starszym.“ Dla Francji mamy pod ręką jeszcze szczegółowsze dane. Sprawozdania urzędowe z lat 1886—1887 głosią, że szkół macierzyńskich znajdowało się wtedy ogółem 6,090 z 9,212 różnego stopnia wychowawczyniami; w tej liczbie 3,577 zakładów było na utrzymaniu państwowym, reszta zaś czerpała z funduszy prywatnych, zwykle pochodzenia filantropijnego. Szkoły macierzyńskie, będące na budżecie państwowym, znajdowały się w 2,000 gminach i dawały przytułek olbrzymiej liczbie 500,000 dzieci! Wydatki ze strony państwa na te cele wynoszą około 5 mil. franków. Opieka nad drobiazgiem społecznym nie ogranicza się jedynie do dania mu przytulku. W większych ogniskach, np. w Paryżu, Bordeaux, Lyonie, Saint-Etienne i in., uboższe małeństwa otrzymują jeszcze posiłek; w pojedynczych okręgach stolicy rozdawany on bywa codziennie tysiącom dzieci, dokarmianych w ten sposób przez społeczeństwo. Według rozporządzenia z r. 1881 szkółka macierzyńska winna znajdować się zawsze na parterze, posiadać pokój dla rodziców przychodzących po dziecko, 2—3 izby do zabawy, ogródek, wreszcie kuchnię dla przygotowania lub odgrzewania pokarmów. Postanowiono też połączyć szkołę macierzyńską z zakładami szkolnymi dla starszych dzieci, ażeby brat lub siostra wyższych oddziałów mogli zastąpić rodziców w przyprowadzaniu i odprowadzaniu małeństwa. Zresztą, prócz rozszerzenia tych szkółek i wyrobienia poważnych sił wychowawczych, dzisiaj chodzi głównie o odpowiedni program — o wyzwolenie małeństwa z pod tradycji czasów filantropijnych.

(D. n.).

J. Wojewódzki.

kształcenia rozdrobniło waszą społeczność na klasy, które poniekąd spoglądały wzajem na siebie jako na odmienne rasy. A jednakże różnica pomiędzy dniem wczorajszym a dzisiejszym nie jest tak znaczna. Mężczyźni i kobiety spośród waszej klasy wykształconej nigdyby nie przyjęli jakiegś usługi od równych sobie, gdyby mieli się cofnąć przed oddaniem podobnej. To samo mamy i dzisiaj. Równość materialna i duchowa, z której obecnie wszyscy korzystamy, uczyniła nas ludźmi tej samej i jedynej klasy, odpowiadającej najlepiej uposażonej warstwie waszej epoki. Bez tego wyrównania warunków życiowych idea o solidarności i braterstwie wszystkich ludzi nigdyby nie zdołała stać się powszechnym dobytkiem i zasadniczą sprężyną czynów. Co u was było górnolotnem, ale pustem słowem, dla nas jest prawdą moralną.

— Czy i usługi kelnerskie należą do tych, które ktoś wybiera dobrowolnie? — zapytałem.

— Nie — odrzekł dr. Leete. Kelnerzy należą do szarej masy prostych pracowników, którym poleca się spełnianie różnych robót, niewymagających szczególnej zręczności lub wprawy. Każdy młodzieniec musi przez pewien czas usługiwać przy stole. Kiedyś, przed laty 40, ja sam spędziłem kilka mie-

sięcy w tym samym gmachu jako kelner. Nie wolno bowiem zapominać, że jednako poważamy wszystkie potrzebne narodowi usługi. Jednostka bynajmniej nie uważa siebie za sługę tej osoby, której polecenia spełnia, ale za znajdującą się w służbie ogółu. Zajęcia kelnera są podobnie szanowane, jak każdego innego robotnika; że on oddaje usługi pojedynczym osobom, okoliczność ta niema najmniejszego wpływu. Lekarz przecież znajduje się w tem samem położeniu. Kelner mógłby z taką samą słusznością pogardzać mną, swoim lekarzem osobistym, jak ja kelnerem.

Po obiedzie oprowadzono mnie po gmachu. Jego rozmiary, wspaniałość architektury, zbytek w umeblowaniu zdjęły mnie podziwem. Nie był to tylko prosty budynek obiadowy, lecz olbrzymi dom rozrywki dla całej dzielnicy z możliwymi urządzeniami w tym względzie.

— Możesz się pan przekonać — mówił dr. Leete — jak okazałe ubiega nasze życie publiczne w porównaniu z prywatnem. Nie chcemy zbytecznego ciężaru na swoich barkach i w domu posiadamy sprzęty niezbędne dla własnej wygody; natomiast urządzenie naszego życia publicznego przewyższa wspaniałością wszystko, co dotychczas świat oglądał.

SPRAWY ZDROWIA.

Znaczenie gorączki w medycynie—dawniej i obecnie.—
Kilka słów o makrobiotyce, czyli długowieczności. —
W sprawie materialnego bytu lekarzy u nas.

Podwyższenie ciepłoty organizmu towarzyszy, jak wiadomo, bardzo wielu chorobom ostrym i przewlekłym, wywołuje liczne, współzależne przypadłości i następstwa, skutkiem czego gorączka zwracała zawsze na siebie uwagę. W rozmaitych czasach, rozmaicie się na ten objaw zapatrywano, uważając go już to za sprzymierzeńca, już to za wroga. Starożytni lekarze utrzymywali, że gorączka jest jedną z sił leczniczych natury — nie walczyli z nią przeto wcale. W średnich wiekach przekonanie to jeszcze bardziej się utrwaliło, wywołując później energiczną opozycję przeciw zastosowaniu chininy. Ówczesni lekarze znali i oceniali, co prawda, szkodliwe strony gorączki, lecz uważali je za konieczne zło, które samo przechodziło. Silny cios tym pojęciom zadała nowsza szkoła, która, na podstawie badań anatomo-patologicznych, przekonała się naczyniem o wynikach działania gorączki na tak ważne narządy wewnętrzne, jak wątroba, śledziona, nerki, serce, mięśnie, nerwy itd. Odtąd zaczęto energicznie zwalczać gorączkę nie tylko środkami wewnętrznymi, lecz i zewnętrznymi, na zasadzie których rozpowszechniło się wodolecznictwo, czyli hydroterapia. Metodą tą leczono wszystkie niemal ostre choroby, nawet tyfusy i zapalenia płuc, a gorączkę tak ważne i groźne przypisywano znaczenie, że zapomniano o innych objawach. Rezultaty, otrzymywane w klinikach, znakomicie potwierdzały wywody teoretyczne; zapomocą nowej metody, bronionej zwłaszcza gorąco przez Liebermeistera, udało się obniżyć śmiertelność przy tyfusie brzuszny z 15—20% do 5%. Pomimo takich wyników nauka, idąca wciąż naprzód, poczęła głębiej zastanawiać się nad znaczeniem gorączki i wówczas zauważyła, że bardzo wiele chorób niebezpiecznych przebiega bez niej, jak np. trąd, przymiot, wścieklizna; dalej, że niektóre, pomimo silnej gorączki, przechodzą bardzo łagodnie i szczęśliwie (tyfus powrotny, zapalenie migdałków itp.) inne zaś przy lekkiej nawet gorączce stają się niebezpieczne dla pacjentów (tyfusy brzuszne, dyfteryja, zapalenie płuc kataralne itp.). Z faktów tych wyprowadzono słuszny wniosek, że gorączka nie stanowi jeszcze o niebezpieczeństwie samej choroby. W dalszym ciągu dostrzeżono, że ona, przypadkowo zjawiając się w przebiegu niektórych niegorączkowych, lecz zakaźnych chorób, przyspiesza leczenie.

Spostrzeżenia te i myśli skłoniły d-ra Dochmanna, docenta na uniwersytecie kazańskim, do szczególnego i doświadczonego zbadania tej sprawy. Pracował on w instytucie prof. Kowalewskiego, a za ofiary nauki wybrał koty. Zastrzykiwał im pod skórę roztwór kurary, silnej trucizny indyjskiej. Umieszczał koty, po zastrzyknięciu im roztworu kurary, w skrzyni ogrzewanej, której ciepłotę można było dowolnie podwyższać. Otóż zwierzęta, pozostając w tej łaźni, uwalniały się od zgubnego wpływu jadu i już po jednej lub dwóch godzinach poruszały kończynami, pomimo że im powtórzono dawkę. Niepoddawane zaś działaniu wysokiej temperatury, po małych dawkach pozostawały przez cztery godziny nieruchome, a po większych — w kilka minut ginęły.

W jaki sposób działa ciepłota w tym wypadku — nie wiadomo; sądzono z początku, że ułatwia ona wydzielanie się szybsze jadu przez nerki, lecz doświadczenia tegoż autora, który po podwiązaniu tętnic nerkowych zupełnie też same otrzymał rezultaty, przeczą temu przypuszczeniu. Skutkiem

tego utrzymuje Dochmann, że podwyższona ciepłota obdarza komórki tkanek większą odpornością, a pogląd ten znajduje poparcie w dawniejszych badaniach M. Szulzkiego i Miecznikowa, którzy wykazali, że ruchy, a zatem i żywotność białych ciałek krwi stają się energiczniejszymi przy sztucznym podwyższeniu ciepłoty, i że ciałka te, zwane *sfagocytami*, daleko zwawiej pochłaniają w tych warunkach laseczniki, czyli mikroorganizmy, wywołujące choroby zakaźne.

Wobec takich wyników wiedzy, szczególnie ważnym jest dla świata lekarskiego i pacjentów dalsze szczegółowe zbadanie zachowania się trucziny organicznych, jako też hodowli zarodników chorobotwórczych w ciele zwierzęcem i ludzkim, systematycznie ogrzewanem sztucznie lub też gorączkującym. Naturalnie nie idzie zatem, by lekceważyć należało gorączkę, choćby tylko ze względu na wspomniane powyżej objawy anatomo-patologiczne; z drugiej jednak strony nauce przybędzie z czasem nowa, a przeciwna obecnej, metoda *pyretyczna* (gorączkowa), która znajdzie szerokie zastosowanie w leczeniu chorób zakaźnych, obok obecnych metod antyparazytarnych.

Jak człowiek chory życzy sobie co prędzej wyzdrowieć, tak znów zdrowy nietylko nie myśli o chorobie, lecz wszelkimi siłami pragnie przedłużyć trwanie własnego życia. *Makrobiotyka* jest właśnie nauką ponętą, uczącą tego kunsztu. W dawniejszych czasach powszechnie jej hołdowano i silono się nad wynalezieniem środków przedłużenia bytu ludzkiego; dzisiaj racjonalne zasady wiedzy ochłodziły zapał, wyjaśniasz gruntownie, że śmierć jest warunkiem życia, koniecznym jego następstwem i że życie każdego gatunku ma przez naturę określone granice maksymalne, po za które przejść niepodobna. Chodzi więc obecnie o to tylko, aby przynajmniej tych granic dosięgnąć, a ogół ludzkości pożądlivem spojiera okiem na nielicznych stuletnich starców, badając skrupulatnie, jaką drogą do tak późnej doszli starości. Słynny antropolog i fizyolog, prof. Paweł Mantegazza oddzielną broszurę poświęcił tej sprawie*). Obecnie również znany uczony, Pfliiger, prof. fizjologii, dzieli się ze światem swemi wiadomościami w artykule umieszczonym w *Revue scientifique* (r. 1890, nr. 14).

Rozpraszając zbyt optymistyczne nadzieje ludzkości, powiada on, że śmierć leży w samej naturze człowieka, a żadna wiedza nie potrafi obronić nas od zgonu. Starość i zanik rozpoczynają się bardzo wcześnie, bo od dnia urodzenia. Fakty wykazują, że rozwój, wzrost i waga ciała ludzkiego w miarę lat coraz bardziej zmniejszają się; najsilniejsza produkcja sił i tkanek zachodzi u płodu, w łonie macierzyńskim, potem z każdym rokiem upada. Tak np. nowonarodzone dziecko waży 3,000 do 3,500 gramów, pod koniec pierwszego roku — 9 kilogramów, waga jego potroiła się zatem; w ciągu zaś drugiego roku waży ono 11—12 kilogramów, czyli że w ciągu tego czasu przybyło zaledwie 2 — 3 kilogramów. Do 16 roku względne te straty są nieznaczne, człowiek nabiera potrosze sił, wagi i wzrostu, aż do trzydziestego. Odtąd do czterdziestki niema straty, ani przybytku, lecz następnie ubytek staje się z każdym rokiem coraz widoczniejszym, aż do śmierci. Przeciętny wiek człowieka wynosi zaledwie 35 lat. Wyjątkowo jednak człowiek może dosięgnąć 150, a nawet 200 lat wieku. Tomasz Parre, angił, umarł 153 roku; mając 101 lat został ukarany sądownie za występki przeciw moralności, w 120 r. ożenił się powtórnie z wdową, która wcale nie uskarżała się na jego wiek lub zgrzybiałość; w 130 r. wykonywał ciężkie roboty, na któ-

re ponownie został skazany. Jenkins, który umarł w Yorkshire w 1670 roku, miał 169 lat, a dwóch jego synów liczyło po 100 i 102 lat i żyli potem jeszcze jakiś czas. Kentigern, znany pod mianem św. Mungo, fundator dyecezyi glosgowskiej, umarł w 185 roku. Wszystkie te fakty są wiarogodne i źródłowo sprawdzone.

Długowieczność jednak bywa wypadkiem rzadkim, a choć pozornie wydawałoby się mogło, że jest ona właściwością normalną ludzkości, jednakże spostrzeżenia przekonywają, że nawet nieprawidłowo zbudowani ludzie mogą dosięgać bardzo późnego wieku. Tak np. Walsen, karzeł, umarł w 115 roku życia; Donald, olbrzym w 120 r.; Manleny miał krótką szyję i wysokie ramiona, a umarł w 120 r., choć przez całe życie ciężko pracował; Nikolina Mare, 110-letnia kobieta, była służącą przez całe życie, a prawa górna jej kończyna była w stanie zaniku; nadto miała ona garb na plecach.

Z tych przykładów wynika, że długowieczność nie przejawia się wcale wzorową budową ciała.

Pijaństwo skraca trwanie życia, umiarkowane jednak użycie wina i piwa nie działa szkodliwie. Niektórzy pijacy dosięgali bardzo późnej starości, a byli pomiędzy nimi tacy nawet, którzy upijali się co wieczór. Nie dowodzi to wcale, by pijaństwo utrzymywało zdrowie, lecz przekonywa o wielkiej odporności organizmu takich osobników.

Użycie napojów podniecających, szczególnie kawy, również niekorzystnie wpływa na długowieczność; pomimo to niejaka pani Durieux żyła 114 lat, chociaż codziennie wypijała przeszło 40 filiżanek kawy czarnej, w czem jej chyba żaden arab nie dorówna.

Długościu życia najbardziej stoi na przeszkodzie uciążliwa praca w kopalniach, sprzyja mu zaś zajęcie w polu, w gospodarstwie.

Z podanych szczegółów wynika, że długowieczność nie zależy ani od budowy ciała, ani od rodzaju zajęcia, ani od żadnego specjalnego sposobu życia, ani też od żadnych szczególnych środków, lecz jedynie od *wrodzonego usposobienia*, opartego na dziedziczności. Najważniejszym zadaniem makrobiotyki jest więc przeciwdziałanie, tj. usunięcie lub przynajmniej osłabienie przyczyn chorób, szczególnie zaraźliwych. Stosowne urządzenia sanitarne, higieniczny sposób życia pod każdym względem, małżeństwa pomiędzy ludźmi zdrowymi, w odpowiednim wieku, umiarkowane zajęcie, staranne unikanie choroby, troskliwe jej pielęgnowanie — oto jedyne zasady, a zarazem cele makrobiotyki.

Tyle opowiedziawszy czytelnikowi o długowieczności wogóle, a zatem o jego własnym życiu, ośmielam się zająć go na chwilę sprawami bytu lekarskiego, o których, choć go osobiście nie obchodzą, pozwoli mi pomówić, bodaj przez grzeczność wzajemną, no i — ze względu na interes społeczeństwa.

Zwiększająca się z każdym rokiem ilość lekarzy nasuwa nietylko im samym coraz smutniejsze myśli o jutrze, lecz nawet społeczeństwu całemu, pośrednio i bezpośrednio w tem zainteresowanemu. Utrzymują zazwyczaj, że ilość ta, w stosunku do ogółu mieszkańców, nie jest nadmierną. Bliższe wpatwienie się w tę sprawę przekonywa, że nadmiar już istnieje, nietylko w miastach gubernialnych i powiatowych, lecz nawet w miasteczkach. Niższe sfery społeczne nie szukają porady u lekarzy; wyszukują je felcerzy, znachorzy i akuszerki. W wielkich miastach tylko kilku, kilkunastu lub kilkudziesięciu (w Warszawie) lekarzy cieszy się praktyką, wystarczającą na przyzwoite utrzymanie. Pomimo to ilość wstępujących na medycynę wzrasta z każdym rokiem, gdyż i inne zawody mało dają nadziei na przyszłość. Wobec tak smutnych warunków koniecznym jest, aby lekarze

*) P. Mantegazza: *Sztuka długiego życia*. Tłomaczył, dr. L. W. Warszawa.

sami energicznie zajęli się poprawą losu własnego, a da się na tem polu wiele jeszcze zrobić, lecz nie usiłowaniami jednostki, jeno łącznemi. W sprawie tej zajął głos dr. Arenstein, praktykujący od lat kilkunastu na prowincyi. W *Kronice lekarskiej* zwraca on uwagę kolegów, aby przedewszystkiem nie rzucali się do studyów, póki warunki nie poprawią się; dalej wzywa władze, aby ograniczyły panowanie felczerów i akuszerów (a także znachorów, hypnotyzerów, masażystów itp.), wreszcie przypomina aptekom, że nie wolno im wydawać lekarstw, zapisywanych przez lekarzy, co jednak dzieje się nawet w Warszawie. W żadnym kraju lekarze nie są tak obojętni na sprawy zawodu własnego, jak u nas; w żadnym tak niezapobiegliwi, tak ufni losowi, tak mało dbający o byt własny materyalny, w żadnym tak mało solidarni pomiędzy sobą, tak niewrażliwi na konkurencyę postronnych żywiaków. Domaga się zatem autor: zamknięcia szkoły felczerskiej, jako zupełnie zbytecznej wobec dostatecznej już ilości lekarzy, energicznego występowania lekarzy urzędujących (inspektorów powiatowych) w poskramianiu działalności felczerskiej i wytworzenia posad lekarzy gminnych, na co gminy chętnie by się zgodziły, a ludność wiejska przyzwyczaiłaby się do szukania porad u lekarzy, zamiast u wyzyskujących ją i oszukujących felczerów. Czy rzucony projekt pozostanie tylko na papierze, czy też przejdzie w czyn? W każdym razie zasługą jest d-ra Arensteina, że odważnie wystąpił w tej kwestyi, nie obawiając się następstw, jakich niewątpliwie dozna ze strony interesowanych pseudo-konkurentów, zamieszkałych w mieście jego działalności praktycznej. Projektowi autora gorące należy się poparcie; czas już wielki, by w sprawę tę zajrzały władze wykonawcze i zmieniły obecne warunki egzystencji wielu lekarzów, którzy znacznie mniej nieraz zarabiają, niż najprostszy felczer, a obciążeni są bez porównania większą odpowiedzialnością i obowiązkami społecznymi.

Dr. L. W.

LISTY WIEDENSKIE.

31 maja.

Z wystawy rolniczo-leśnej.

Jak corocznie niemal, tak i teraz urządzono w Wiedniu wielką wystawę, trwającą przez cały sezon letni. Odpowiada ona przedewszystkiem interesom miasta: idzie o to, aby przywabić gości zagranicznych, aby przemysłowcy wiedeńscy wystąpić mogli z gustownymi wyrobami, wreszcie aby sami wiedeńczycy mieli jakieś igrzyska, nieodzowne dla ich temperamentu. Mniejsza więc o tytuł i program wystawy, które odbijają się zawsze tylko w zewnętrznym niejako jej kostiumie. Wre tedy życie pełne na placu: wiedeński występują w świeżych toaletach, parę orkiestr przygrywa hućnie, pawilony, w których można kosztować próby wina i piwa, oblegane są od rana do późnej nocy; reporterowie uwijają się skrzętnie, zapisując drogie słowa każdego z arcyksiążąt zwiedzających wystawę, słowem, znowu się coś dzieje w Wiedniu.

Wystawa mieści się w wielkiej rotundzie, zbudowanej niegdyś dla powszechnej i w szeregu pawilonów wzniesionych w Praterze. Widzimy tu naprzód przepyszny pawilon cesarski, jasniejący białością alabastru, złotem i czerwienią, podobny do świątyni wschodniej. Środek rotundy zajmuje fontanna, otoczona grupami roślin i akwaryami. Są tu przeważnie wyroby przemysłu wielkiego i domowego, dalej przybory myśliwskie. Wchodząc bramą zachodnią, znajdujemy się na olbrzymiej drodze, wysadzo-

nej lampami elektrycznymi. Na środku jej urządzono wodotryski barwne na wzór paryskiej *fontaine lumineuse*. Z obu stron szeregi pawilonów. Na lewo, oprócz licznych, drobnych, pawilon Rumunii, Włoch i Francji, dalej t. zw. Herrenhaus, w którym mieszczą się szeregi apartamentów urządzonych przez stolarzy wiedeńskich i dzieła sztuki, przeważnie rzeźby. Na prawo rozsiadany również cały szereg pawilonów prywatnych, nadto zaś stoją tu wielkie pawilony ministerium rolnictwa, historycznej wystawy myśliwskiej, przemysłu ekonomicznego, domowego i pawilon Szwecji.

Równolegle ciągną się po prawej stronie rotundy zabudowania, mieszczące produkty leśnictwa, chmielarnię, plac dla bydła i rozległe stajnie.

Zajrzyjmy do rotundy. Czwartą część olbrzymiej tej budowy zajmują Węgry. Na parterze umieszczono wozy, wyroby skórzanego, produkty górnicze i leśne, głównie zaś wytwory węgierskiego przemysłu domowego. Widzimy tu barwne hafty, plecione dywany, kilimki, dalej dzbany, fiaszki i puławy z majoliki chłopskiej, świecącej glazurą. Narodową wieżę Eiffla zbudowano — z papryki; w dziale austriackim odpowiada jej budowa o podobnych kształtach, związana ze sznurów i motków barwnych. Na estradzie rozłożono próby wełny, jedwabiu, nasiona i zgrabne modele dla budownictwa wodnego. Galeryę, okalającą środek rotundy, zajęły wystawy zbiorowe poszczególnych komitetów węgierskich.

Przemysł austriacki zajmuje trzy czwarte rotundy. Na pierwszym planie znajdujemy tu naturalnie wyroby, mające pewien związek z gospodarstwem rolniczym i leśnym. A więc: kosy, produkty chemiczne, wyroby metalowe; wpada tu w oko wschodni pawilon wyrobów koszykarskich, dalej wystawa wzorowych urządzeń kuchennych. Czechy i Morawia wystąpiły ze zbiorowemi wystawami produktów rolniczych.

Malowniczym jest widok wystawy myśliwskiej. Z pni i gałęzi surowych zbudowano szereg pawiloników i kolumnad łukami przesklepioną, pokrywając cały ten dział sieciami myśliwskimi i girlandami z liści dębowych. W pysznych tych namiotach widzimy niepospolitej piękności okazy niedźwiedzi, dzików, wilków i rysiów, zabitych w lasach austriackich. Celuje tu Galicya zwierzyzną wystawioną przez Dzieduszyckiego i Sapiechę. Rotschild kazał wnieść plastyczny krajobraz górski, na którym zgromadził całą zwierzynę alpejską; pawilon ten wywiera istotnie czarowne wrażenie. Humorystycznym uzupełnieniem tego działu jest zbiór starych, zepsutych strzelb, odebranych złodziejom leśnym.

Stwosz.

BADANIA NAUKOWE.

KARTKI NAUKOWO-ARTYSTYCZNE.

Ujednostajnienie miar. Pod wpływem rozwoju stosunków międzynarodowych spostrzegamy dość ciekawą dążność praktyczną w kierunku uproszczenia miar, używanych w poszczególnych krajach międzynarodowego obszaru wymiennego. Dotychczasowe powstawały zwolna w przeciągu wieków; nazwy wielu, np. „stopa“, „łokieć“, jasno wskazują, że niektóre członki ciała ludzkiego były tutaj nieraz głównym punktem wyjścia. Każdy kraj i nawet każda okolica wyrobiły sobie w ten sposób odmienne miary; rozmaitość ta nie powodowała żadnych złych skutków, dopóki stosunki wymienne nie wybiegały po za granice miejscowe, lecz w miarę wzrostu wymiany pomiędzy oddzielnymi krajami musiała się okazać wysoce niestosowną. Mo-

zna było zgóry przewidzieć, że tę przeszkodę wypadnie prędzej czy później usunąć. Z powyższą sprawą łączy się jeszcze inna. Podział miary na niższe jednostki w każdym zakresie zjawisk wyglądał inaczej — stosownie do warunków historycznych powstawania; mila posiada 7 wiorst, wiorsta 500 sążni itd., tymczasem pud ma 40 funtów, funt 32 łuty. Kto kształcił działość, wie, ile jest kłopotu z wyuczeniem jej tej zawiłkanej tablicy, nieposiadającej krom zwyczajnych żadnych tytułów do usprawiedliwienia swego bytu. System dziesiętno-metryczny francuski usuwa tę niedogodność, upraszczając w najwyższym stopniu stosunki wzajemne niższych i wyższych miar. Właśnie stoimy dzisiaj wobec prawdopodobieństwa, że system ten stanie się wkrótce obowiązującym na całym obszarze wymiennym. W r. 1867 Akademia nauk w Petersburgu zwróciła się do oddzielnych rządów z projektem ujednostajnienia wag i miar długości. W 1870 zebrał się dla tej sprawy kongres uczonych i dyplomatów, w r. 1875 zaś już 16 państw przystąpiło do umowy (Niemcy, Austro-Węgry, Belgia, Dania, Szwecja z Norwegią, Rosya, Hiszpania, Włochy, Francja, Portugalia, Turcja, Peru, Argentyna, Venezuela, Związek północno-amerykański), później zaś Wielka Brytania i Japonia. Postanowiono wygotować prawzory międzynarodowe metra i kilogramu; utworzono w tym celu biuro międzynarodowe, które zajęłoby się wypełnieniem tego obowiązku i w przyszłości strzegło owych prawzorów i porównywało z nimi wzory krajowe. Rozwiązanie samego zadania napotykało wiele trudności technicznych i zaledwie przed rokiem zostało ukończone. Zjazd międzynarodowy dyplomatów, który odbył się w Paryżu podczas wystawy, przyjął wykonane prawzory, uznając w imieniu związanych umową państw urzędowo system metryczny, jako obowiązujący, co zresztą dla wielu krajów jest jedynie uprawnieniem już istniejącej rzeczywistości. Podobnie od lat kilku toczą się żywe rozprawy i zjazdy międzynarodowe co do uznania jakiegoś południka za pierwszy i stworzenia w ten sposób ogólnej przyjętej podstawy dla utrwalenia czasu powszechnego. Szowinizmy narodowe hamują wszelkie zakończenie tej sprawy. Anglicy francuzom, francuzi zaś anglikom nie chcą uczynić najmniejszego ustępstwa. Zda się jednak, że obie strony gotowe byłyby zgodzić się na — Jeruzalem. Rzecz dziwna, jak tradycja, często zupełnie przebrzmiała, ciąży całe wieki na pokoleniach dalekich!

Przy sposobności warto zaznaczyć inne próby ujednostajnienia chaotycznych, lecz przekazanych przez przeszłość sposobów mierniczych. W *Revue scientifique* niejaki p. Bailly wnosi, że należałoby mnóstwa codziennych i naukowych pomiarów oprzeć na systemie dziesiętnym, jako przedstawiającym nader liczne korzyści przy mnożeniu itd. Między innemi żąda, aby dobę dzielono na 10 godzin, godzinę na 100 minut, minutę na 100 sekund. Podobnie domaga się, aby kąt prosty miał 100 stopni, stopień — 100 minut itd. Rzecz godna uwagi, że wszystkie te przeobrażenia naukowa myśl ludzka podniosła po raz pierwszy podczas wielkiej Rewolucyi... Z tą kwestyą wiąże się jeszcze inna: uproszczenie symbolów dla oznaczenia miar wyższych i niższych. Mamy nawet w tym przedmiocie przez koła naukowe przygotowany projekt. Nie przedstawiamy go szczegółowo, zaznaczamy jedynie źródło istotne tych najrozmaitszych ujednostajnień, które dla jakiejś duszy poetycko-archeologicznej wydawać się mogą zamachem na tradycję i swobodę indywidualną. Wiedza wzrasta niepomiernie, wiedza, która daje nam pojęcie o wszechświecie i z bogactwami myśli naszą. Aby nabyć jej jak najwięcej, należy uprościć drogi do niej prowadzące i zaoszczędzić zużywaną energię na coś lepszego. Z tego właśnie powodu płyną te różne uproszczenia, chociażby uje-

dnostajnienie różnych miar, oparcie ich na systemie dziesiętnym tak dogodnym dla odbywania działań matematycznych itd.

Wyjałowienie mórz. Jeśli wypadnie komuś w przyszłości mówić o obecnej epoce historycznej i badać nasze zachowanie się względem skarbów przyrody, ochrzci on bezwarunkowo wiek XIX nazwą różbójniczego. Gdziekolwiek natura ukaże jakieś bogactwo naturalne, rzucają się natychmiast tłumy wyzyskiwaczy, rabujących do szczytu znalezione łupy bez dbałości o przyszłe pokolenia, jakby rządili się zasada: niech po nas nastąpi potop! W tej grabieży chodzi jedynie o osobiste z bogaceniem się i osobistą przyjemność. Wzorków nie potrzebujemy szukać daleko, dość wspomnieć rabunek, dokonany przez szlachtę nad lasami, których nie sadziła. Prawodawstwo w różnych krajach musiało wystąpić w ich obronę. Atoli nie wszędzie rozpostarło ono swe opiekuńcze skrzydła. Z Ameryki środkowej dają się np. słyszeć głosy, że niebawem zabraknie kolibrów na świecie: kilka milionów tych ptaszyn pochłaniają rocznie kapelusze damskie. Obecnie w sferach urzędowych Francji podniesiono inną sprawę: wyjałowienia mórz. W pobliżu Tulonu i Marsylii dawna obfitość ryb w morzu należy do podań, którym obecnie nie każdy chce dać wiarę. W zatoce nicejskiej ichtyologia liczyła przed laty 80 do 317 gatunków; wielu i to najważniejszych dla przemysłu dzisiaj już niema. W pobliżu niewielkiego portu Cassis łowiono jeszcze w 1825 r. do 50 tysięcy kilogramów ryb; dzisiaj nie otrzymuje się nawet paru tysięcy! Zaniepokojony tym objawem rząd francuski wyznaczył w 1887 komisję dla zbadań połowu sardynek, później inną — w sprawie śledzi. Wreszcie postawiono stanowczo pytanie, czy człowiek jest w stanie wyjałowić z ryb morze? Wyróżniono ryby „morskie“, które tylko czasowo ukazują się w bliskości brzegów, i inne, które trzymają się ich stale. Fakty, zebrane względem ostatnich, nie pozwalają wątpić o szkodliwym wpływie nadmiernego rabunku. W liczbie ryb wybrzeżnych, zdaniem niektórych znawców, znajdują się i sardynki, stanowiące tak ważny przedmiot zarobku francuskiego a wylławiane rocznie w liczbie około miliarda. Projekty prawodawcze, chcące położyć kres temu nieograniczonemu wyzyskowi bogactw morskich, w zasadzie opierają się na tych samych podstawach, co i prawa powstrzymujące rabunek myśliwski. Lecz już na samym początku okazało się, że jeśli mają opierać się tylko na gruncie jednopaństwowym, mogą być skuteczne ledwie dla niektórych gatunków. Tymczasem nie wszystkie ryby gnieźdzą się wzdłuż wybrzeży jednego jakiegoś kraju. Śledź np. ukazuje się na przestrzeni od Grenlandyi po przez wybrzeża brytyjskie do Bałtyku i morza Łodowatego. Przeprowadzenie przez Francję odnośnego prawodawstwa naraziłoby jedynie jej przemysł, nie powstrzymując grabieży ze strony innych krajów. Ustawa, ochraniająca ryby, może być zatem międzynarodową. Jeszcze bardziej konieczność ta występuje, jeśli okaże się, iż szkodliwe wpływy człowieka są zdolne osiągnąć i bogactw czysto oceanicznych, chociaż niektórzy o tej możliwości wątpią, twierdząc, że człowiek w porównaniu z innymi czynnikami wywiera skutek niemal żaden.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Gawalewicz Maryan: *Komedye*. (Jednoaktówki i monologi). Serya II. Warszawa, 1890.

Gdyby życie naszego społeczeństwa sprowadzało się do salonu, wtedy ocenę niniej-

szą musiałbym zacząć od pytania: czem jest p. Gawalewicz dla naszego piśmiennictwa? Ponieważ jednak salon, na szczęście, stanowi tylko cieplarnię dla t. z. „kwiatu towarzysstwa“, egzotycznego wprawdzie, lecz jałowego, to jest, pudełko do chowania nie-licznej, lecz uprzywilejowanej klasy, przeto pytanie poprzednie musi uleść zmianie i brzmieć: jakie jest znaczenie p. Gawalewicza dla naszego życia salonowego? Zaznaczam, że — ogromne! Dopiero tak umiejscowiony twórczość beletrystyczną tego autora, można go i lepiej zrozumieć i właściwiej ocenić. Salon jest jego bytu literackiego ujęciem i źródłem. „Z tą spokojną fizyognomią, z tym nosem pełnym łagodnego wyrazu, z temi oczyma, w których naiwność i prostota się przebijają, — jak kogoś a może siebie określa bezwiednie w jednym z monologów („Optymista“) — czyż mógłby on gdzieindziej przebywać, jak na posadkach salonów? Ba, nie dość tego — czyż potrafiłby on sobie gdzie lepsze znaleźć ramki, niż w eleganckim świecie kobiet? „Okolo ust miewam często taki melancholijny albo dobroduszny uśmiech i wtedy główkę przechylam z lekka na lewą stronę, jak pierwsza naiwna naszej komedyi; no, proszę powiedzieć, czy z taką miną można być złośliwym, nieprzyjacielem kobiet, pesymistą?“ P. Gawalewicz stokrotnie nas przekonał swojemi jednoaktówkami, monologami i inną galanterią literacką, że nie może być złośliwym, a tem mniej — pesymistą. Jest więc naprzód przyjacielem kobiet, i to zarówno w powszednim życiu: w teatrach amatorskich, na rautach, balach, słowem, w całym reżyserstwie rozrywkowym, jak w idealnym, w odbicie fotograficznej pierwszego, czyli w pismach swoich, szczególnie zaś w jednoaktówkach i monologach.

Nie wiem, o ile to jest dziedzicznem lub też w późniejszych kolejach życia nabytem, ale najwybitniejszą cechą towarzysko-salonową p. G. jest — „bawidamstwo“ (ukulem ten wyraz z znanego pierwiastku — „bawidama“). O potęgę tego nalogu u pewnego gatunku ludzi da niejakię pojęcie wyjątek z wierszyka autora („Na raucie“):

Nieraz czujesz w krzyżu bole,
Boś noc spędził u stolika
Przy... pisanu, w głowie strzyka,
W uszach szumi, w boku kole,
Takbyś chętnie w swym szlafroku
Drzemał sobie na fotelu
I nie robił za dom kroku...
Próżne chętki, przyjacielu!
Niech cię strzyka, niech cię boli,
Zdrów, czy też skonania blizki,
Kiedys „człowiek towarzyski“,
W konwenansu żyj niewoli,
Pillnuj wizyt, rautów wszędy
I jour-fixów, i herbatek.
.....
Świat bez kobiet źle się bawi.
Jeśli życie wina czaszą,
To kobiety przy niej pieśnią,
One mu (nam) biesiadę kraszą,
Bez nich świat by zaszedł pieśnią.

I skrzydełka więzną w słodkim lepie, inteligencja układa się do długiej, jeśli nie dożgonnej drzemki. Wyobraź sobie, czytelniku, na gładkiej, lecz już plesniejacej miejscami, powierzchni „śmietanki towarzyskiej“ — cały światek wykwintnych, naiwnych, czasem dowcipnych, lecz prawie zawsze płytkich umysłowo kobiet, a wśród nich siebie, niezmiernie tklivego na ich wdzięki. Czujesz, że nie tylko są one dla ciebie magnesem, trzymającym cię za najczulszą stronę na uwięzi, lecz i ty dla nich jesteś ożywiającą duszą towarzystwa. Spędziłeś w takim otoczeniu chwilę jedną i dopiero wyobraźnią byłeś tam obecny, a teraz pomyśl, iż są ludzie, którzy godziny, dnie, miesiące, lata, często życie całe w taki sposób spędzają. Para ludzka w długim pożyciu rodzinnem użycza sobie wzajemnie nie tylko swoich cech umysłowych, myśli i czuje pokrewnie, ale nawet fizycznych,

uśmiecha się, chodzi jednakowo, odkłada sobie barwę i zagięcia głosu. Taki sam los bawidamków. Otoczenie ich nie wymaga zbyt wielu umysłowych, głębie ducha mogą sobie zamknąć się choćby na zawsze, natomiast wystąpić musi: galanteria tradycyjna, zdolność prowadzenia zręcznej rozmowy o niczem, błyskotliwa, wytworna, lecz bezcelowa gra słów i, w największej dozie — „flirt“, to jest, wiekuiste kręcenie się około niezaspokojonych, nastrojonych chorobliwie pragnień, którym za ciasno jest w rodzinie mieszczańsko-szlacheckiej...

Wątku utworów p. G. dotknijemy tylko zlekka, o ile tego wymaga charakterystyka talentu autora. Zresztą wątek ten, szczególnie w monologach, jest prawie żaden. Jednoaktówki i monologi p. Gawalewicza nie dają się już dziś pomyśleć w oderwaniu od rozrywek naszej klasy uprzywilejowanej, i odwrotnie rozrywki — bez nich. Nie potrafiłbym wyobrazić sobie, czemby cory naszego Olimpu społecznego, a choćby nawet przedśionków jego, zdołały zastąpić na raucie lub w teatrze amatorskim jego *Barkarole*, *Lekcje deklamacyi*, *Guzik* lub którykolwiek z popularnych monologów, gdyby jakieś fatum wcześniej, niż sądzono, zatarło ślad istnienia ich w literaturze polskiej?.. Tak się to zespoliło jedno z drugim.

Większość utworów p. G., zawartych w niniejszym tomiku, prawdopodobnie obiegła setkę rautów i widowisk domowych w Warszawie i po za nią, jeszcze wprzód, nim się dostały pod prasę Gebethnera i Wolfa. Powodzenie ich najbardziej może świadczyć, że były przykrojone do miary gustu publiczności, dla której zostały napisane. Zawdzięczają zaś to następującym, niezaprzeczonemu zaletom: są pod względem formy cackiem filigranowej roboty, zręcznością kompozycji niedaleko odbiegają od wzorów francuskich, treścią zaś najzupełniej harmonizują z poziomem umysłów „śmietanki towarzyskiej“. Kilka razy w intrydze rozwijanej w rozmiarach jednego aktu los rodziny zawieszony bywa na włosku, a potem ocalany ku zadowoleniu uczuć monogamicznych... A tymczasem słuchaczki w chwili niepewności miały sposobność poplirtować nieco, polaskotać się niewinnem pobudzeniem pragnień skrytych... Upodobanie autora w jednoaktówkach i monologach nie jest czemś dowolnem; pisał je pod naciskiem technicznej strony zabaw salonowych. Wymagano od niego, żeby dostarczał drobnych, wytwornie oprawionych zwierciadełek życia pewnej sfery towarzyskiej, a on się z obstalunków pojętnie wywiązywał.

Jego zbiorek jednoaktówek i monologów może zadowolić każdą „jednostkę estetyczną“, pragnącą wziąć udział w systematycznie urządzonej rozrywce salonowej. Zechce np. popisać się na jakim „raucie panińskim“ lub „młodych mężatek“ jaki trzpiot-bawidamek, odnajdzie w repertuarze p. G. z góry dla siebie napisaną sztukę, monolog p. n. „Optymista“, która od początku do końca, pomimo zamiaru autora, spełniać będzie rolę szarmanckiego szmigusu. P. Gawalewiczowi wybornie się udaje satyra ułomności niewieścich. Wkłada ją do flakonika przedniego gatunku pachnidła i zapomocą syfonika strzela w przedmiot swej napaści — wonną mgłą... Jak go światek kobiecy niema lubić? Jeśli jakiejś milej a młodej jeszcze mężatce, która ma czarującego, lecz rozpieszczonego „milusińskiego“, przyjdzie ochota wziąć udział w raucie na jaką ochronkę, monolog p. n. „Smok“ posłuży jej za wyborną formę artystyczną do wypowiedziania się z estrady przed tuzinem innych matek — z radości macierzyńskich...

Pan Gawalewicz ma palce istic kobiecym wirtuozostwem obdarzone: jakiego tylko pasma życiowego swojej sfery się dotknie, daje nam koronkę subtelną, wachlarzyk kunsztowny lub inną jaką rzecz, kwalifikującą się do bazaru pracy kobiet — tyle

posiada niewieściej pieszczotliwości w stylu. Jednego darować mu nie mogę, skąd mu przyszedł pomysł (w „Figlu Benwenuta Celiniego“) na plecy tytana myśli i sztuki, Michała Anioła, wkładać płaszcz arlekiński?

Zyg. Piet.

DWA SALONY.

Paryż, 24 maja.

Dwa Salony! — jeden stary przy Polach Elizejskich, drugi młody na Polu Marso-
wem w Pałacu sztuk pięknych, pozostałym po zeszłorocznej wystawie... Prawdziwy za-
lew róż, wyspanych z majowego rogu ob-
fitości. Tyle obrazów, tyle płócien! W pier-
wszym Salonie 2,400 — w drugim około
2,000. I wszystko to produkcyja jednoro-
czna, przeważnie francuska. Zeszłoroczny
wysiłek wystawowy odbił się jednak nieco,
nie tyle na ilości, ile na jakości obecnego
plonu Salonów; powiedzielibyśmy, szarzy-
zna — gdyby kolor ten nie był wykluczony
z palet malarskich, hołdujących dziś prze-
devszystkiem słońcu, potem wolnemu po-
wietrzu a następnie barwom jaskrawym,
lub fioletowej, która cieszy się wielkimi
względami malarskich impresjonistów. Kto
zaś dziś we Francyi i wszędzie, gdzie sięga
wpływ malarstwa francuskiego, nie jest
impresjonistą? Zatarły się początkowe chro-
powatości, kanty i dziwactwa szkoły,
która już zresztą zapomniała, że była kie-
dyś młoda i miała swoje wybrki, obok
idei. Idee nie bardzo się jakoś skrystaliza-
wały i szkoła nie wyrobiła się jako całość
odrębna o wyrazie jasno określonym. Re-
formatorskie natomiast ulepszenia przyjęte
zostały, w części przynajmniej, przez wię-
kszość malarzy. Wszyscy są potrosze im-
presjonistami, atoli bez przekraczania odpo-
wiedniej miary i wszyscy kłaniają się je-
szcze starym mistrzom, nie zrywając z ni-
mi całkowicie. Taki Puris de Chavannes,
który, na tle impresjonistycznym, stworzył
całkiem odrębny rodzaj malarstwa, prze-
ważnie dekoracyjnego, jest wyjątkiem.

Są zresztą malarze, których nie dotknął
wcale prąd reformatorski; stali bowiem już
na górze, kiedy dołem przeciągały różne
zawieruchy. Takimi są dwaj mistrze, dwie
głowy dwu rywalizujących z sobą Salonów:
Bouguereau i Meissonier. Pierwszy patro-
nuje Salonowi Pól Elizejskich, drugi Mar-
sowemu Polu; pierwszy też jest klasykiem
czystej wody, „Rafaelistą“ — drugi nie jest
bynajmniej ani *prae* ani *post* Rafaelistą,
lecz poprostu utalentowanym a jak chcą
niektórzy — genialnym miniaturzystą. Bou-
guereau obdarzył stary Salon dwoma obra-
zami: „Święto niewiasty u grobu“ i „Ze-
braczkę“, młode dziewczęta — Meissonier
dał mały obrazek, zawieszony na wielkiej
ścianie (inne odsunęły się z respektem, zo-
stawiając wiele pustego miejsca wokoło),
przedstawiający w małych rozmiarach wiel-
kiego Napoleona z r. 1806, na polu bitwy.

Po za mistrzami spotykamy gwiazdy dru-
giego rzędu. Na Polach Elizejskich: Detail-
le, Flameng, Gérôme, Benjamin Constant
Roche-grosse, Juliusz Breton, Bonnat, La-
febvre i wiele, wiele innych trzecio i czwar-
torzędnych wielkości. Mówiąc o tem sto-
pniowaniu nie przyjmujemy go bynajmniej
za zasadę i miarę oceny, lecz mamy jedynie
na myśli rozgłos i sławę, jaką już zdobyli
sobie panowie wystawcy. Gdyby przyszło
oceniać jedynie według zasług i talentu —
wielu wywyższonych byłoby poniżonych
i wielu maluczkich weszłoby do niebieskie-
go królestwa sztuki. Nie mamy jednak ani
czasu, ani miejsca dla urządzania sądu osta-
tecznego na wielkiej dolinie Pól Elizejskich
i Marsa. Nadmienimy natomiast, że gwia-
zdami drugiego rzędu w drugim Salonie są:
Carolus Duran, Lehrmitte, Roll, Duez, Le-

rolle, Dagnac-Bouveret, Gervex, Besnard
i wielu innych. Umieszczono tu również,
w miejscu Puris de Chavannes'a *Inter artes
et naturam* — artysta ten jednak to gwia-
zda pierwszego blasku.

Cóż mam powiedzieć po zatem? Salon
z Pól Elizejskich a raczej jego pomieszcze-
nie znanem jest dostatecznie. Sadowi się on
w tak zwanym Pałacu Przemysłowym, po-
zostałym po wystawie 1867 r. W wielkiej
hali na dole, pod oszklonem przykryciem
mieści się tu obszerny i ponętny tak zwa-
ny *Jardin de Sculpture*, zastawiony ziele-
nią i rzezbami z białego marmuru lub gip-
su. Trzydzieści z górą sal wystawowych
urządzono na pierwszym piętrze. W Pałacu
sztuk pięknych zeszłorocznej wystawy brak
owego pięknego ogrodu na dole, w salach
atoli wystawowych, mieszczących się i tu
również na pierwszym piętrze, niema tego
tłoku i ścisłu, jak w niewielkich saloni-
kach Pałacu Przemysłowego. Płótna też nie
zapełniają tu całych ścian, sięgając sufitu,
gdzie ich i najlepsze oko nie dojrzy, lecz
wiszą sobie dwoma tylko rzędami w dłu-
gich, widnych i przestronnych galeryach.

Nie żadne powody zasadnicze, lecz sprze-
czka o medale i różne formalności podzieli-
ła stowarzyszenie malarzy francuskich na
dwa obozy i dała początek dwu Salo-
nom — nie można więc powiedzieć, że je-
den jest konserwatywnym a drugi postępo-
wym. Bądź co bądź jednak, na Polu Mar-
sowem więcej jest powietrza i światła, wię-
cej miejsca, po galeryach zaś i kątach no-
wego i pięknego Pałacu sztuk pięknych nie
błądzą żadne widma tradycyi artystycznych
i nie straszą żywych. To też ściągnęło pod
jego lekkie sklepienia wiele sił młodych,
wybijających się dopiero na światło. Zje-
chało się tu także wielu cudzoziemców (1/3
wystawców): belgów, holendrów, szwedów,
którzy prześcigają nieraz w *plein-air* yzmie
i impresjonizmie swych mistrzów, francu-
zów, pociągnęli zaś ochotnie do międzyna-
rodowego Pałacu z wystawy 1889 r.

Parisis.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Coraz przyjemniej. — Zabawy letnie. — Konsystorz
Akademii krakowskiej. — Ustępstwa dla opinii. —
Jak powstają przesady społeczne. — Respekt dla „lep-
szych.“ — Jedno echo odezwy w *Wiśle*. — Kompeten-
tna ocena naszej statystyki. — Zbierajmy cyfry. —
Skutki zwrotu ku pracy produkcyjnej. — Nadmiar
sił — Samowola i dziwne zasady w Zawierciu. — Po-
niewieranie losem ludzi pracujących. — Spełniona
wróżba. — Zasługi p. Gnołńskiego.

Coraz przyjemniej. Mamy nową opere-
tkę, mamy teatryki ogródkowe, mamy wy-
ścięgi konne, dzięki którym przynajmniej
trzech nadwiślaków może udawać anglików
(tanim kosztem *go, on i all right*), mamy
wreszcie „ingresy“ biskupie, budzące w o-
piewających je duszach takie uczucia, jakie
tylko tryskać zwykły w sereach kochan-
ków, wzruszonych rozkoszą wspomnień
i nadziei. Gdy czytam te opisy, powtarzam
sobie ciągle: jest jeszcze, jest miłość na
świecie, która nie potrzebuje gorącymi po-
całunkami przelewać się z ust do ust, a je-
dnak odurza... Dziennikarsey bowiem spra-
wozdawcy z uroczystości wstępowania na
stolicę biskupów omdlewali w upojeniu
i rozpyływali się w łzach. Rzadko gaj naszej
prasy brzmi śpiewami tyłu i tak bogatych
w trele słowików.

Daleko słabszem i uboższem pieniem, bo
tylko chórem stańczykowskich eunuchów
uczczono doroczny konsystorz krakowskiej
Akademii umiejętności, na którym biret
kardynałski otrzymał p. W. Spasowicz.

Wprawdzie nowy dostojnik nie był ani Lu-
trem, ani Kalwinem, ani nawet Hussem
względem papieżów Akademii; przyznanie
mu wszakże zaszczytu jej członka czynnego
jest wyraźnem ustępstwem dla opinii, która
oddawna szemrze przeciwko zamianie tego-
niby wszechkościola nauki na stańczykow-
ską plebanję i parafię. Być może, iż kiedyś
otrzymawszy listę jej kleryków, kapłanów
i prałatów, opowiem wam, jacy to ludzie
obdarzeni zostali przez nią godnościami,
a jacy — nie. Dziś tylko ostrzeżę czytelnika
ogólnie przed złudzeniem, że Akademia
krakowska ozdabia swój strój nasświetnien-
szemi gwiazdami umysłowości polskiej. Są
tam niewątpliwie gwiazdy, ale w znacznie-
szej mierze: świecące próchna, ogniki ba-
gienne, węgielki kadzielnic ultramontań-
skich i świętojańskie robaczki. Tego dobro-
go zebralo się już za wiele, trzeba więc by-
ło kimś nadłamać ostrze pocisków, miota-
nych w dzierzawców instytucyi i na ten u-
żytek wybrano p. Spasowicza, którego prze-
cież tyle razy karcił St. hr. Tarnowski! Czyż
to nie wymowny dowód bezstronności?

Z maleńkich zdziebełek piasku składają
się wysokie góry, a z naszych drobnych
słów i czynów — obyczaje i zasady społe-
czne. Życie nasze jest wolnem od wielu ska-
mienialości cywilizacyjnych, pielęgnowa-
nych bezymyślnie przez inne narody, ale po-
siada ono bałwochwalczy szacunek, a przy-
najmniej nieograniczoną pobłażliwość dla
warstw „wyższych“ i surowość z lekcewa-
żeniem dla niższych. Jeżeli ktokolwiek
z nas powie lub krzyknie, że chłop jest zło-
dziejem, żyd — oszustem, dorozkarz — chci-
wym, żebrak — natrętnym itd., to może
być pewnym, że w ogromnem kole słucha-
czów znajdzie wiare; gdyby natomiast te
występki i wady przyczepił do innych,
„lepszych“ gatunków ludzi, z pewnością po-
mówionoby go o potwarz. Pochodzi to stąd,
że opinia — słowna i pisana — lekceważąc
sobie dobre imię pospółstwa, nie oszczędza
go w żadnym wypadku i tym sposobem
utrwała w przekonaniach ogółu skojarzenia
pewnych pojęć z pewnymi osobnikami.
Przypuśćmy, że ulicą jedzie wóz zwykły
i amerykan arystokratyczny i że obaj po-
wożący wpadli końmi na przechodniów;
furman wozu będzie ogłoszony całkowitem
nazwiskiem we wszystkich pismach, pan
z amerykana wspomniany tylko bezimien-
nie. Praktykując tego rodzaju odróżnienia
ciągle, wpajamy wreszcie w ogół mniema-
nie, że nieostrożna jazda jest właściwością
ordynarnych woźniców. Wyobraźmy sobie
teraz, że niecna spekulanka wzięła młodą,
cnotliwą dziewczynę na wabika dla męż-
czyzn, którzy jej posłużyć mieli do niego-
dziwych wyrachowań; jeżeli to będzie Ryf-
ka Diament — dzienniki przedstawiają nam
ją bez osłony, jako Ryfkę Diament; ale je-
żeli ona nazywać się będzie K...ska lub
J...ska i należeć do „lepszej sfery“ — ujrzy-
my ją nawet w sprawozdaniach sądowych
szczelnie zawołowaną, jako panią K. lub J.
Naturalnie wytwarza się dogmat, że cnotli-
we dziewczęta puszczane bywają w obieg
przez Ryfki, Gitle, a czasem przez rajfurki
z niższego pokładu *skich*. Niedawno toczyła
się w sądzie sprawa pewnej damy, która
przyzwoliła panienkę poświęcić chciała dla
wcześniejszego do arystokratycznych salo-
nów za granicą. Gdyby małą część jej...
nieprzystojności popełniła Ryfka Diament,
oglądałaby ją pod przegierzem cała Warsza-
wa; ponieważ jednak była to dama, więc
znamy tylko jej kryptonim i nie wiemy,
komu „nie kłaniają się na ulicy w Warsza-
wie“, kto wdziękami „siostrzeniec“ otwiera
sobie drzwi salonów w Nizy i kto pomimo
to posiada przywilej bezimienności w spra-
wozdaniach sądowych.

Prawie wszystkie pisma zajmują się pro-
jektami utworzenia przy Towarzystwie mu-
zycznym wykładów deklamacyi, techniki
dramatycznej i sztuki aktorskiej. Widząc
nadmierzające zajęcia się tą sprawą, zrozu-

miałem, jak niefortunnym był mój pomysł, wypowiedziany w *Wiśle*, ażeby ona wezwwała swoich i nieswoich czytelników do nadawania jej cyfr i uwag, objaśniających udział żydów w naszym życiu społecznym i ekonomicznym. Uwaga bowiem społeczeństwa, skierowywana niezmordowanie ku zabawom i teatrowi, nie może przecież zaprzatać się taką fraszką, jak „kwestya żydowska.“ Dla rozcięcia tego węzła wystarcza nam cyganek, wyostrzony na kilku wątpliwych cyferkach i wetknięty w pustą chrozoologię. To też ze wszystkich pism, wychodzących w obrębie Królestwa, powtórzyły i poparły odezwę *Wisty* tylko... *Radomskija gubernskija Wiedomosti*. Rezultat ten powinien być nauką dla przyszłych projektowiczów, ażeby nie wykraczali po za granice teatru, wycieczek, rautów i balów. Jeżeli wreszcie w Amsterdamie kotka urodzi kociąta z zajęczymi nogami, to one niewątpliwie przebiegną naszą prasę; ale kwestyonaryusz dotyczący żydów zatrzymany zostanie w kotlinie, w której się wylagł. Bo i czegoż my o nich nie wiemy? Znamy Stary Zakon, kilka przepisów i opowieści Talmudu, dzieła Drumonta, powieści Junoszy, fejetony Prusa, roczniki pism humorystycznych, sprawy subhastacyjne, procenty pobierane przez lichwiarzów i wiele, wiele innych rzeczy, a czyż to nie wystarczy do rozstrzygnięcia „kwestyi żydowskiej,“ kwestyi uczestnictwa miliona ludzi w materialnym i moralnym życiu społeczeństwa? Posiadamy nawet cyfry, które nam odpowiadają na wszelkie pytania. O cyfrach tych wyrażane bywają czasami bardzo znaczące wątpliwości. Tak np. *Now. Wremia* w korespondencji z Warszawy donosi: „Dnia 17 b. m. odbyło się tu posiedzenie komitetu statystycznego pod przewodnictwem Naczelnika kraju i z udziałem prezesa komitetu centralnego, p. Troickiego. Gorące rozprawy toczyły się w przedmiocie zbierania danych o ruchu ludności w Królestwie Polskim podczas lat 10; po wszechstronnych wyjaśnieniach okazało się, że *ani jeden* z projektowanych sposobów nie daje ręką dokładności. W każdym razie sprawa ta nie ominie rąk pisarzy gminnych, a ufać im nie bardzo można, ponieważ wśród setki znajduje się zaledwie kilku takich, którzyby z całym przekonaniem zabierali się do roboty.“ Korespondent na wymownym przykładzie ilustruje nieścisłość naszej statystyki w wypadkach, do których nie powinnyby się zakradać grube omyłki. Wobec tego zakwestyonowania wiarygodności cyfr ze strony samych organów urzędowych, dziecięca ufnosć publicystów do podejrzanego materiału poszczyć się może wysoką naiwnością. Jeżeli zaś sam ruch zaludnienia nie został dotąd ujęty w liczby, to cóż powiedzieć o innych objawach, niekontrolowanych nawet księgami meldunkowemi! A jednakże na tak nikłej i fikcyjnej podstawie publicyści nasi opierają swoje stanowcze wnioski i wywody. To też gdy Prus woła: „czytajcie cyfry,“ ja radzę: naprzód zgromadźcie cyfry pewne, a potem je czytajcie.

Ciekawą byłaby statystyka młodych ludzi, którzy ukończywszy szkoły techniczno-przemysłowe, wyczekują pod zamkniętymi drzwiami fabryk już nie na pracę płatną, ale na bezpłatną i na możność kształcenia się praktycznego. W każdym razie jest to legion. Przez dwa ostatnie dziesięć lat rozbrzmiewało w naszym społeczeństwie i prasie hasło kształcenia młodzieży w kierunku produkcyjnym. Wywarło ono istotnie wpływ szeroki. Te sfery, które dawniej dla swych synów nie widziały szczęścia po za urzędami, wprowadziły ich na nową, zalecaną drogę. Zamiast do uniwersytetów, zaczęto tłoczyć się do wyższych szkół technicznych, z których wyszli i wychodzą ludzie uzdolnieni do pracy przemysłowej. Ale zwrot ten wyrodił inną i bardzo poważną kwestję: gdzie zużytkować ten napływ sił? Fabryki okazały się albo przepełnione,

albo dla przybyszów niechętne. Z rozwojem wykształcenia nie postępował równolegle i równomiernie rozwój przemysłu, na dawne zaś jego pola interes chętniej powołuje pracowników prostych, rutynowanych i tanich, niż wyszkolonych i droższych. Nadto żywił miejscowy nie mógł znaleźć dostatecznej opieki i życzliwości w przemysle obcym, przeważnie niemieckim, spekulacyjnie u nas zaszczipionym i posługującym się swoimi rodakami. Wszystko to sprowadziło na rynek nadmierną podaż rąk i głów, które po wielu latach starań i bezpłatnej usługi nie mogą zdobyć zarobku. Wszystkie fabryki w kraju są obleżone przez tłum młodzieży z patentami wyższych szkół technicznych i przemysłowych, która jak o największą łaskę prosi o możność praktykowania. Do tej ogólnej troski często jeszcze zła wola dorzuca swoje kamienie. Tak np. niedawno dyrektor (polak) fabryk Towarzystwa akcyjnego „Zawiercie“ wydał dwunastu polaków (przeważnie ludzi z wyższym ukształceniem), nie tknąwszy ani jednego Niemca, a nawet przyjąwszy nowego. Pan ten, któremu „wolno być niesprawiedliwym,“ posunął równocześnie samowolę tak daleko, że odprawionym odmawiał wydania świadectw, według kaprysu oznaczał przypadającą im należność, a usuwając (niby dla oszczędności) jednych, drugim, zaszczyconym jego dostojną łaską, podwyższył pensję. Z dowodów, złożonych nam przez jego ofiary, przytoczymy drobny, ale charakterystyczny. Oto brzmienie dymisji: „Ponieważ *wszelka praktyka*, a tem samem jednostki niemające *zajęcia stałego* są poniekąd przeszkodą dla fabryki, przeto itd.“ Czy słyszał kto, ażeby praca człowieka teoretycznie wykształconego była „przeszkodą dla fabryki“ i ażeby taki człowiek, spełniający włożone nań obowiązki, nie miał „zajęcia stałego“? Obok pytania wniossek: skoro „*wszelka praktyka jest poniekąd przeszkodą dla fabryki*,“ zatem wszystkie fabryki, o ile nie chcą ponosić strat i spełniać aktów dobroczynnych, powinny zamknąć się przed nowymi kandydatami bez względu na ich zdolności i wiedzę teoretyczną; ponieważ zaś wszystkie siły fabryczne przygotowują się drogą praktyki, a ta będzie zamknięta, więc po wymarcu obecnych, przemysł ustać musi. Do takich niedorzeczności prowadzi logicznie rozwinięta zasada dyrektora z Zawiercia.

W jednym z poprzednich numerów *Prawdy* zrobiłem żartobliwe przypuszczenie, że furmani żydowscy, dowiedziawszy się o taryfach i opłatach za bilety na kolei Terepolskiej, zamartwychwstaną i zaczną z nią współzawodniczyć w przewożeniu osób i rzeczy. Nie sądziłem, że wróżba ta już się spełniła. Bo oto, co donosi *Kurier codzienny*: Skutkiem anormalnych taryf i drożyny przejazdu koleją do najbliższych stacji „prawie cała uboga ludność miasteczek Nowomińska, Siennicy, Karczewa, Okuniewa, Garwolina, Stanisławowa oraz innych w powiatach nowomińskim i garwolińskim komunikuje się z Warszawą przy pomocy bryk furmańskich i kilku omnibusów.“

Posel Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Jak się pewien radca przysłużył Towarzystwu kredytowemu ziemskiemu oraz jego członkowi. — Igranie z ogniem. — Liczcie się z cyframi. — *Summ quique.*

Niech mi Towarzystwo kredytowe ziemskie niema tego za złe, że, gdy pociągnę za dostarczony mi przez pokrzywdzonego sznuręk, uchylił się niedyskretnie kulisa, a z po niej wyjrzy nieprana bielizna tej szanownej instytucji. Tym psotnym sznurkiem (sądzę, że w znacznej części z włókien prawdy skręconym) jest dla mnie piśmienne zeznanie braci Kuszłłów, niepraną zaś bie-

lizną Towarzystwa — cała sprawa wywłaszczenia ich z majątku przez Dyrekcję szczegółową lubelską. Czytając suchy materiał, nadesłany w tej mierze do redakcji *Prawdy*, musiałem co chwile sprawdzać, czy nie wsunął mi czasem kto dokumentu o jednym z zajazdów sąsiedzkich z okresu staroszlacheckiej Rzeczypospolitej. Rzecz się miała tak. Majątek Nowosiółki, położony w powiecie hrubieszowskim, gub. lubelskiej, był obciążony sumą 10,000 rs., pożyczoną przez p. Ilustrowskiego, pisarza Dyrekcji szczegółowej lubelskiej — dawnemu posiadaczowi, zmarłemu Janowi Kuszłłowi. Dla spłacenia tego ciężaru, jako też i innych drobniejszych długów, nieboszczyk sprzedał 10 włók ziemi kolonistom, którzy, dawszy zadatki, weszli w posiadanie gruntu, z warunkiem, że szacunek wraz z procentem spłacać będą; w przeciwnym zaś razie tracą zadatki i obowiązani są do ustąpienia z zajmowanych gruntów. Po uiszczeniu się z całkowitego szacunku nabytej przez nich ziemi zmarły Kuszłł obowiązał się oddzielić im hypotekę. Podania do Towarzystwa kred. ziem. o zwolnienie nie zrobiono, ponieważ prawowity fakt sprzedaży zależnym był od wypłacalności nowonabywców. Koloniści jednak nieчем więcej, prócz wniesionych zadatków, należności nie pokrywali. W takim stanie rzeczy r. 1887 zasciga Jana Kuszłła śmierć. Majątek, jako naturalni i jedyni spadkobiercy, obejmują w posiadanie jego synowie, pp. Kazimierz i Władysław. Kolonistów, ze względów „humanitarnych,“ nie rugowali, myśląc, że ci w końcu zapłacą, chociaż to zmuszało spadkobierców przez kilka lat płacić podatki i procenty Towarzystwu kred. Do kłopotów z kolonistami przylączyła się kłeska elementarna: z powodu deszczów nieustannych podczas żniw zgniło przeszło 1,000 kop pszenicy na polu. Wszystko to razem było powodem, że pp. Kuszłłowie zalegli w opłacie rat Towarzystwu kred., które znów zmuszone było wystawić majątek na sprzedaż w dniu 18 sierpnia 1888 r. Ponieważ jednak urodzaj był niezły, a przetarg wypadł po żniwach, pozostawała jeszcze nadzieja, że przed naznaczonym terminem zaległość Towarzystwa da się pokryć. Tymczasem d. 28 lipca 1888 r. zjechał na grunt radca-delegat Dyrekcji szczegółowej lubelskiej, p. Gustaw Wierciński, i korzystając z tego, że pp. K. nie dopełnili intromisji, tytułem wakującego spadku, ogłoszonego uprzednio na żądanie pisarza Ilustrowskiego oraz tytułem wrzeczomej dewastacji, nałożył na majątek administracyę, powierzając niejakiemu p. Bogusławskiemu. Naturalnie prawo rozporządzania funduszami i plonami zostało odjęte pp. K. Nadzorcą administracyi ustanowił radca p. Koiszewskiego, właściciela dóbr, położonych w sąsiedztwie, włożywszy nań obowiązek dopilnowania, żeby zarządca w niczem nie przekroczył instrukcyi danej w protokole. Tu dopiero rozpoczyna się dramat własnościowy. P. radca nie dał w instrukcyi polecenia administratorowi przygotowania funduszu na opłacenie zaległości Towarzystwu, prosił zaś p. K. Kuszłła, żeby mu wolno było wziąć odpowiednią ilość zboża po przedstawieniu kwitu z opłaconych rat Towarzystwu wynoszących około 1,400 rs. — nie uwzględnił. Również p. Wierciński nie chciał zamieścić w protokole wezwania p. K., żeby polecił administratorowi przygotowanie „miejscowymi środkami“ funduszu na opłacenie zaległości. Co się tyczy krescency z gruntów bezprawnie zajętych przez kolonistów, zamiast nakazać użycie jej na zapłacenie rat, przynajmniej w stosunku do rozmiaru zajmowanych przez nich działek, p. radca nie pozwolił w instrukcyi użycia przez zarządcę oporu, gdyby koloniści chcieli usunąć z pól plony. Korzystając z zachęty, natychmiast krescencę sprzątnęli wraz ze słomą i sprzedali.

W ten sposób, cel, do którego p. radca, odziany w płaszcz powagi instytucji zie-

miańskiej, dążył, został osiągnięty: zaległości nie były opłacone, a więc majątek z konieczności musiał uleść sprzedaży w terminie wyżej oznaczonym. Nabywcami zaś stali się ciż sami, których pp. Kuszllowie, pomimo ich niewypłacalności, oszczędzali — koloniści. „Nietylko jednak krescencye z gruntów bezprawnie przez nich zajmowanych — głosi nadesłana nam deklaracya — oddał im radca Wierciński, ale nadto darował im także wspaniałomyślnie i całą krescencyę z gruntów dworskich przed sprzedażą majątku zebraną, a zatem, według logiki i obowiązującego kodeksu, będącą bezsporną własnością Kuszllów, nie zapłaciwszy z niej ani zaległych rat, ani nawet należnego wynagrodzenia służbie, która *do dziś dnia jest niezapłaconą*.” Wyżuci w ten sposób z własności, w następstwie Kuszllowie ponieśli jeszcze dotkliwsze straty. Spadli z hipoteki wierzyteli położyli sekwestr na meblach, stajni i wozowni; wystawili na przetarg i sprzedali wszystko za 1,400 rs. Na dowód, jak sprawę tę po wandalisku przeprowadzono posłużyć mogą ceny sprzedażne niektórych wyższej wartości przedmiotów: np. 8 obrazów oryginalów pędzla pierwszorzędnego podobno malarzy — za rs. 14, ogiera rasowego sześćoletniego — za 50 rs. itp.! Chcąc mieć w ręku dowód popełnionego bezprawia, wniósł p. K. Kuszll do Dyrekcji szczegółowej lubelskiej prośbę o wydanie mu kopii protokołu nałożenia administracyi, do czego jako interesowany (i dodajmy, jeżeli nie trafił na jaki drakoński przepis) miał prawo, otrzymał odpowiedź odmowną tej treści: „Dyrekcya szczegółowa ma zaszczyt objaśnić W-go Pana, iż do wydania żądanych kopii nie znajduje żadnej podstawy.” Szczęściem pokrzywdzeni dostali od administratora (kilkakrotnie podobno złapanego na krzaczku) inny egzemplarz. Kołotali potem pp. K. ze skargą do Dyrekcji Głównej, która po „półrocznym namysle” wyśtosowała do Kuszllów odezwę następującej treści: „Na jakiej zasadzie występujecie panowie z pretensjami do Towarzystwa kredytowego, kiedyście nigdy nie byli właścicielami Nowosiółek, tylko wasz ojciec?”

Wstrzymuję się od komentarzów, tembardziej, że w niniejszej sprawie należałoby ściśle zastosować zasadę: *audiatur et altera pars*... Jednej tylko pozwolimy sobie uwagi. Gdyby to wszystko, co autor nadesłanej nam „deklaracyi” wyłuszczył, miało niezachwiane podstawy prawdy, wypadłoby spytać Towarzystwo kredytowe ziemskie, instytucję niedającą się pomyśleć w oderwaniu od dzisiejszych stosunków własnościowych, co by się stało z drobną, wielką i średnią własnością ziemską, gdyby w kraju jednocześnie istnieli tylko posiadacze *ojcowie* i naraz, w jednej chwili, pomarli wszyscy, *synowie* zaś ich, jako uznani przez kodeks cywilny jedyni naturalni spadkobiercy z jakichkolwiek powodów nie zdążyli uzyskać intromisyi, uświęcającej formalności prawnej, a w tem przyszłoby komu do głowy zastosować do nich praktyki radcy Wiercińskiego?.. Moi panowie, na jakże cienkim włosku zawieszacie jedno z najważniejszych paladów współczesnego ustroju! Na waszem miejscu miałbym pretensję nietylko o krzywdę wyrządzoną jednostce, ale o zachwiewanie wiary w trwałość rzeczy ludzkich, o prostowanie siężki dla jakiejś wielkiej likwidacyi, czy ja wiem?.. Zresztą rozwikłanie tej sprawy pozostawiam znawcom jałowych labiryntów mądrości prawa cywilnego, jako obrońcom z powołania wszelkiego kalibru prywatnej własności ziemskiej i wszystkich ideałów na niej wyrosłych... Co zaś do pp. Kuszllów, to ze znanych sobie faktów wysnuli oni dwa skandaliczne, za które my wcale i wcale nie odpowiadamy, wnioski: 1) Cała intryga była uknuta w tym celu, żeby pisarzowi Ilustrowskiemu oszczędzić nieodłącznych od subhastacyi kłopotów i ułatwić podjęcie sumy zahypotekowanej na dobrach

pp. Kuszllów, Nowosiółki. 2) Rada Wierciński swą znową z pisarzem Ilustrowskim i kolonistami zsolidaryzował ze swoim postępkom władze nietylko Dyrekcji szczegółowej, lecz i Głównej, które dla ocaczenia czei musiały dalej snuć wątek „bezprawia.” A teraz nasza rada pod adresem Towarzystwa: jeżeli sprawa wytoczona zostanie na stół sądowy i okaże się zasłona, która kryła czoła z rumieńcem wstydu, wypadnie staranniej na przyszłość dobierać sobie radców...

„Czytajcie cyfry” — pod takim tytułem p. Prus w *Kuryerze codziennym* rozpoczął szereg artykułów. Mybyśmy powiedzieli: „czytajcie cyfry iliccie się z niemil!” Szczególnie przydałoby się to naszym antyindustrialistom, którzy z wielkiej miłości dla roli powypełniali sobie czaszki wszelakiem ziarnem zbóż. „Postaramy się dowieść na mocy dat, jakie udało się nam pochwytać w rozmaitych gazetach — powiada autor *Lalki* — że alarmy ekonomiczne nie mają u nas żadnej szerszej podstawy i że istotną chorobą ekonomiczną jest niewiadomość, brak energii i próżniactwo, nie zaś „powszechna ruina” — słowem prawie wszystkie te przywary naszych przemysłowców i kupców, które wytknął w *Lalce*. Żeby tem skuteczniej rozwiać czoce utyskiwania u nas nad zachwianiem się przemysłu, pozbiarał on kawałki rozproszonego po dziennikach zwierniadał statystycznego i kazał się w niem przejrzyć przemysłowi krajowemu. Jakże on wygląda?

Ogólna produkcya przemysłowa wynosiła w cyfrach okrągłych: W r. 1852 — 27 mil. rs., w 1871 — 65, w 1880 — 167, w 1888 — 209. „Czyli: przemysł nasz od 30 lat nietylko nie upada, ale ciągle i dość okazale wzrasta.” W pierwszym 12-to leciu przyrost wynosił 143% (12% rocznie), a w ostatniem ośmioleciu — 125% (16% rocznie). Tak samo wzrasta liczba robotników przemysłowych: W r. 1871 było ich 68,000, w 1880 — 115,000, w 1888 — 144,090. „Gdzie tu więc powód do ekonomicznego pesymizmu?” — pyta Prus. Naturalnie, zaznaczywszy iż na teraz, jako odbicie współczesnego stanu rzeczy, mieści się w przytoczonych liczbach gruba oś prawdy, nie można ich uważać za zupełnie ściśle. Komu innemu, zapatrzonemu w plantacye średnioazjatyckiej bawelny i nowe ogniska przemysłu naddnieprzańskiego, a jeszcze bardziej może w przyszłość drobnych warsztatów, wydadzą się one nietylko pozbawione mi ścisłości, lecz zgoła — marnemi.

Ponieważ już bardzo blisko doszedłem w materji od tego punktu (Łódź), który w zeszłym fejtynie dał sposobność prowincjonalnemu kronikarzowi do zaczepienia mię, muszę zrobić uwagę, iż zarzut wymierzony mi co do chwiejności użytego przeze mnie argumentu na poparcie przesłanek teoretycznych, o tyle jest słuszny, o ile wiara mojego przeciwnika w skuteczność modłów jego zanoszonych pod adresem protektorów ulubionych dążeń i instytucyj — jest gorąca... Kronikarz pewnego pisma niech się nie dziwi, że gałek z zakrzepłej żółci, według zwyczaju rzucanych z za płotu od pewnego czasu w moją stronę, dotychczas nie podjąłem i nie zwróciłem mu skwapliwie. Najprzód nie obdarzyła mię natura tradycyjną krewkością szlachecką i nigdy nie miałem upodobania do zaczepiek żakowskich, a powtóre nie chciałem iść wskazanymi torami. Natomiast kilkakrotnie z tego samego miejsca usiłowałem puścić kilka promieni właściwego światła na parę żywotnych dziś u nas kwestyj, stawianych przez kogoś dla dobra sprawy opacznie, ale za każdym razem napotykałem po drodze bezwiednie ochronną dla mojego przeciwnika siatkę... Los ten, zdaje mi się, nieraz jeszcze mię spotka, bo nie należę ani do „wsteczników świadomych,” przystrojonych w cudze zwodnicze piórka, ani do uzbrojonych w dmuchawki do „roz-wiewiania chmur” wstrętnych, ani też piersi

mojej nie chroni niepochwytyny, lecz czarodziejski amulet dwulicowy, na którego lepszej stronie raduje oczy humanitarne hasło: „ukochanie idei, ludzkości i przyrody,” a na odwrotnej jego surogat: „ziemia, prosty człowiek i Bóg” — w przyszłości zaś może nawet — czy ja wiem co?

Z. Atanazy.

KRONIKA.

Instytut inżynierów komunikacyj.

W końcu maja zatwierdzono nową ustawę Instytutu inżynierów komunikacyj w Petersburgu. Kurs trzyletni, wprowadzony przed dziesięciu laty, zmieniony będzie na pięcioletni. Egzaminy konkursowe będą zniesione. Wybór kandydatów zależeć będzie wyłącznie od ich (prawdopodobnie decydujących) świadectw i patentów z wyższych i średnich zakładów naukowych; tylko w razie braku takich kandydatów, odpowiadających wymaganiom warunkom, stosowany będzie dotychczasowy sposób egzaminów konkursowych. Nowość ta wielce ułatwia starania o przyjęcie do zakładu, daje bowiem możność zgłaszania się bez osobistego przyjazdu do Petersburga, a nadto — jak twierdzą *Nowosti* — zapewnia lepszy niż dotychczas wybór studentów, gdyż, jak wykazała praktyka, egzaminy konkursowe często nie dawały dokładnych wskazówek o zdolnościach kandydatów. Oplata roczna za naukę podwyższona będzie z 50 do 100 rs. rocznie. Fundusz z tego źródła ma ułatwić instytutowi dalszy rozwój drogą nabywania nowych środków pomocniczych. Ustawa określa dokładniej znaczenie inżyniera komunikacyj. Stosownie do postępów, kończący Instytut otrzymywać będą stopnie „inżyniera komunikacyj” i „technika komunikacyj,” dla odróżnienia od „inżyniera cywilnego,” który jest więcej specjalistą w dziale architektury, wykładanej głównie w Instytucie inżynierów cywilnych. Na katedrę powołane będą najlepsze siły z innych zakładów naukowych. Jednocześnie Instytut przygotowywać będzie do działalności pedagogicznej młodych inżynierów. Byt materyalny profesorów będzie znacznie polepszony.

Zasób filantropii.

Powtórnie zwołane posiedzenie roczne uczestników i uczestniczek Towarzystwa opieki nad ubogimi matkami oraz ich dziećmi w salonie hr. Racyńskiego zgromadziło zaledwie kilkanaście osób na ogólną liczbę członków 446 osób... Z odczytanego sprawozdania dowiadujemy się, że dochód Towarzystwa wynosił z różnych źródeł filantropijnych (składek, went, balów) — 24,119 rs. 18 kop., wydatkowano 11,634 rs. 52½ k. Zostało przewyżki na rok bieżący rs. 12,485. W zakładzie przebywało w ciągu zeszłego roku 266 matek, w tej liczbie 89 niezamężnych, przepędziły one przecięciowo po 16, 80 dni; zamężne po ślubności średnio 8, 80 dni, niezamężne — 31, 33! Dzieci znajdowało się w zakładzie 256; w tej liczbie nieprawych 89. Zmarło 1 prawe i 4 nieprawe, oddano na wieś 58, matkom z przynależną zapomogą 12, matkom bez dalszej opieki — 166. Dzieci, które zakład opuściły, przebywały w nim przecięciowo dni 15, 38, oddano zaś wprost z zakładu na wieś — 31, 26. Całkowity koszt utrzymania jednej matki wraz z dzieckiem w zakładzie wynosił średnio dziennie rs. 1 kop. 9. Dzieci umieszczonych na wsi, pozostało na rok bieżący 127; oplata na utrzymanie dziecka w ciągu roku wynosiła rs. 35 kop. 87. *Gazeta polska* zwraca uwagę szafarzów na to, iż powinni by pomyśleć o zmniejszeniu kosztów utrzymania matek w zakładzie. Istotnie, jeśli one są wygórowane, należałoby być bardziej filantropami...

Ognisko, stowarzyszenie akademickie w Wiedniu, przesyła listownie wzmiankę naszego korespondenta (w n. 21 *Prawdy*) zaprzeczeniem, jakoby ster tej instytucji dostał się w ręce młodzieży postępowej. Z walki, która toczyła się nie o zasady, lecz o sprawy administracyjne, wyszedł zarząd mieszany, mający w swym składzie obok postępowców także konserwatystów i antysemitów.

Szkoły. Przy ministerium oświaty utworzona będzie osobna komisja w celu opracowania projektu nowej ustawy Akademii nauk.

— Stała komisja przy ruskim Towarzystwie technicznem projektuje utworzenie szkół specjalnych: chemiczno-technicznej, elektryczno-technicznej i fotograficznej.

— Studenci ostatniego kursu inżynierów komunikacji dostali za zadanie do złożenia ostatecznego egzaminu zbadanie w ciągu lipca koryta Wołgi. Podzieleni będą na dwie partie: jedna rozpoczyna czynności od Niższego-Nowogrodu, druga od Saratowa.

— W politechnice ryńskiej ma być wprowadzony obowiązkowy wykład w języku ruskim.

— Prawosławna władza duchowna otrzymała kredyt 61,314 rs. wyłącznie na utrzymanie szkół duchownych prawosławnych w prowincjach zachodnich.

— Z początkiem przyszłego roku szkolnego nową formę umundurowania, przepisana dla uniwersytetu warszawskiego, obowiązywać będą nosić studenci wszystkich kursów i wydziałów, z wyjątkiem drugorocznych na piątym kursie medycyny, którzy do czasu złożenia ostatecznych egzaminów mogą nosić dawną formę lub odzież cywilną. Dawna forma umundurowania uniwersytetu warszawskiego jest obecnie obowiązującą dla studentów gospodarstwa wiejskiego w Nowej-Aleksandryi (Pulawach).

— Na ostatnim zjeździe lekarzy i przyrodników ruskich poruszono sprawę zaprowadzenia zmian w dotychczasowym sposobie pozyskiwania stopnia naukowego doktora medycyny.

— Komitet ministrów zatwierdził opracowane przez komisję specjalne przepisy o wydawaniu urzędnikom państwowym zapomóg na kształcenie dzieci. Z przywileju tego będą korzystać urzędnicy, pozostający w służbie państwowej przynajmniej lat 15.

— W Syberii ma powstać instytut weterynaryjny.

— W Hong-Kong założono Akademię medyczną na wzór europejskich.

Wiadomości administracyjne. Paragraf 18 instrukcji, dotyczącej kontroli nad górnictwem prywatnem, zmieniono w następujący sposób. Po otrzymaniu zawiadomienia o nieszczęśliwym wypadku w kopalni, o śmierci lub kaleczeniu robotników, inżynierowie okręgowi albo ich pomocnicy obowiązani są udać się na miejsce wypadku dla zbadania przyczyny nieszczęścia i wynalezienia odpowiednich środków zaradczych na przyszłość lub przyjąć z pomocą ofiarom katastrofy. Oryginał spisane protokołu powinien być złożony natychmiast w departamencie górniczym lub zarządzie, a kopie jednocześnie przechodzą do sądnego śledczego.

Wystawy. W Kaliszu podczas wyborów do Towarzystwa kredytowego ziemskiego, staraniem okolicznych rolników urządzono wystawę inwentarza i maszyn rolniczych.

— Odbędzie się w Warszawie wystawa prac po zmarłym rysowniku Władysławie Sandeckim.

— W Petersburgu zawiąże się wkrótce komitet stały dla powszechnych i miejscowych wystaw.

— Od 15 września do 1 października w Norymberdze będzie otwarta wystawa rysunków i przyrządów rysunkowych.

— W Budapeszcie otwartą będzie w sierpniu wystawa teatralno-aktorska.

— W Magdeburgu otwarto wystawę marek pocztowych.

— W Edyburgu otwarto międzynarodową wystawę elektryczną.

— Celem uczczenia 500-ej rocznicy śmierci Dantego, urządzono we Florencji międzynarodową wystawę artystyczną i umysłowej pracy kobiet.

Zjazdy. Drugi zjazd chirurgów polskich odbędzie się w Krakowie 15, 16 i 17 lipca r. b.

— Na rzecz zapowiadzanego w Petersburgu kongresu międzynarodowego w sprawie wykształcenia technicznego, przemysłowego i handlowego, sfery rządowe zajęły się zbieraniem odpowiedniego funduszu.

Rolnictwo. Departament rolnictwa zwrócił się do instytucji rolniczych i ogrodniczych z prośbą o poparcie jego usiłowań w kierunku zakładania sadów i ogrodów przy szkołach wiejskich.

— Działalność projektowanej instytucji elewatorów zbożowych będzie następująca: Elewatory będą podlegały kontroli. Sortowanie ziarna należeć ma do obowiązków komitetu inspekcyjnego i dozorczy składów zbożowych. Komitet z właścicieli elewatorów lub składów tudzież kupców gildyjnych pozostaje pod przewodnictwem delegata departamentu przemysłu i handlu. Oznacza on co rok gatunki zboża przed 13 września. Próbkę w opieczętowanych naczyniach szklanych powinny być wystawione w składzie i na giełdzie zbożowej. Komitet odpowiada za sortowanie zboża tylko w obrębie składu lub w tym wypadku, jeżeli ziarno przewożone będzie w workach, opatrzonych plombą składu. Jednocześnie poruszono sprawę uregulowania giełd zbożowych. W związku z powyższym pozostaje sprawa utworzenia na rynkach zagranicznych agentur specjalnych, któreby zajmowały się sprzedażą zboża i produktów zbożowych.

Sprawy kolejowe. Pociągi pospieszne i pocztowe kolei Wiedeńskiej mają być wkrótce zaopatrzone w hamulce t. zw. ciągłe, systemu Hardy'ego.

— Układy w sprawie skupu przez rząd kolei Libawsko-Romeńskiej są już na ukończeniu.

— Zarząd tymczasowy kolei skarbowych opracował projekt kasy pomocy dla robotników.

— W zarządzie kolei Nadwiślańskiej ponownie poruszono sprawę budowy drugiego toru od Kowla do Iwangrodu.

— Otwarto kolej Mniejszo-Azyatycką z Angory do Ismidu.

— Departament kolejowy oznajmił, że ministerium skarbu dopiero wtedy wyrazi swoje zdanie w przedmiocie nowych taryf komunikacji niemiecko-warszawskiej, gdy już będą wypracowane odpowiednie projekty z oznaczeniem odległości zainteresowanych kolei ruskich i niemieckich. Departament zaznacza, iż wyrażone przez przedstawicieli niektórych kolei życzenie, ażeby w nowym wydaniu taryf komunikacji niemiecko-warszawskiej pomieszczone były także stawki dla bezpośredniej komunikacji kolei okręgu warszawskiego z kolejami okręgu wrocławskiego, tudzież aby zastosowano jednakowe warunki taryfowe dla transportów nadchodzących z Prus do Sosnowic lub odwrotnie — uznano za zupełnie słuszne.

— Z rozporządzenia głównej inspekcji kolejowej wkrótce na wszystkich drogach zaprowadzone będą sygnały, ostrzegające dróżników o nadchodzącym pociągu, urządzone w formie dzwonek elektrycznych; nadto do każdego domku dróżniczego doprowadzony będzie zapasowy drut telegraficzny w celu zasłaniania pomocy z najbliższej stacji w razie wypadku. Przenośny aparat telegraficzny ma się znajdować w pociągu. Projektowaną jest także ciągła kontrola dróżników, obowiązanych kilka razy na dobę obchodzić swój dyśans. Dróżników nie wolno będzie używać do żadnych stałych robót, oprócz do poprawek natychmiastowych, nieprzeszkadzających im w dozorze linii.

Wiadomości społeczne. Sprawa dóbr powitgensteńskich tak się przedstawia: Przemysławski w kraju lat 5, młody ks. Hohenlohe, syn dziedziczył, będzie mógł przyjąć poddaństwo ruskie; sprzedaż dóbr będzie wówczas zbyteczna. Termin sześćioletni jest tylko formalnem odroczeniem sprzedaży; *de facto* dobra pozostaną i nadal w rękach spadkobierców, o ile młody książę dobrowolnie ich nie sprzeda.

— W Krakowie, w parku dr. Jordana zaprowadzono dla dzieci bezpłatne kąpiele, z zastosowaniem tuszów, według metody Prissnitz.

— We Lwowie powstało Towarzystwo przyjaciół oświaty ludowej.

— Z powodu wzmagającej się drożyzny w Krakowie, drukarze miejscowi żądają podwyższenia płacy.

Literatura. Ze Lwowa donoszą, iż wkrótce zaczną wychodzić nowe codzienne pismo rusińskie, podobno półurzędowe.

— W Niemczech wyszło 13 powieści sensacyjnych, osnutych na tle życia i tajemniczej śmierci Ludwika II bawarskiego, a 22 zajmujące się losami i zgonem arcyksięcia Rudolfa. Z tych ostatnich jedna rozeszła się w 120 wydaniach.

— Z pomiędzy nagród, wyznaczonych obecnie z zapisu Montyona przez Akademię francuską, otrzymała 500 fr. p. Poradowska za powieść p. t. *Demoiselle Micia*.

— Czeski przekład najnowszej powieści hr. Lwa Tołstoja „Sonata kreutzerowska,” został skonfiskowany przez policję.

Zmarli. Oskar Kolberg, znakomity etnograf polski w Krakowie.

— G. Karpow, w Moskwie; historyk, autor „Historii wojny państwa Moskiewskiego z Polsko-Litewskiem.”

— Wiktor Rousseau de Beauplan, w Paryżu, kome-diopisarz francuski.

— Verissimo Maria Gonalhes, literat portugalski w wieku lat 116.

— Józef Stoczek, uczony węgierski, profesor fizyki i pierwszy rektor politechniki peszteńskiej.

— Edwin Waugh, w Liverpoolu, angielski poeta ludowy.

— James Nasmyt, w Londynie, inżynier angielski, wynalazca młota parowego.

— Edmund Dorer, literat i krytyk niemiecki.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Studente medycyny w Bernie. Dla obszernych polemik z artykułami w innych pismach drukowanymi nie mamy miejsca. Sądźmy przytem, że nawet przy słuszności zarzutów należałoby względem Jeża zachować ton poważniejszy.

Stałej prenumeratores. Żydem.

Uwaga. Redakcja rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

O g ł o s z e n i a.

Wydawnictwo Spółki Nakładowej.

WYBORU PISM Henryka Heinego

w przekładzie: Maryi Konopnickiej, Józefa Kościelskiego, Aleksandra Kraushara i innych, wyszedł w wydaniu ozdobnem

Tom pierwszy

z portretem autora i zawiera: Życiorys poety, przez A. Kraushara, oraz Intermezzo, Powrót, Nową wiosnę, Różne, Romanse, Obrazy morza północnego, Baśń zimową i Melodye hebrajskie. Cena rs. 1 k. 20, z przesyłką poczt. rs. 1 k. 40.

Uwaga. Następny tom „Wyboru pism“ Heinego, zawierający „Podróż do Harzu“ i „Włochy,” wyjdzie niezadługo.

Spółka Nakładowa

poleca następujące wydawnictwa swoje:

Brandes Jerzy. Główne prądy literatury europejskiej XIX w., tom V. Szkoła romantyczna we Francji, z portretem autora, str. 402 — rs. 2.

Chmielowski Piotr dr. Autorki polskie wieku XIX, studium literacko-obyczajowe, ozdobione sześcioma portretami, str. 541 — rs. 2 k. 50.

Gumplowicz L. System socjologii — rs. 3 k. 30, z przesyłką rs. 3 k. 60.

Kramsztyk Stanisław. O postaci i ciężarze ziemi. str. 93 — k. 60.

Biuro i ekspedycja Spółki Nakładowej: Warszawa, Marszałkowska, nr. 95.

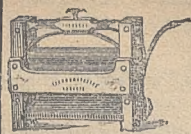
Polecamy

Wyroby Rękawicznicze

ze znanej powszechnie fabryki pod firmą:

„HIPOLIT“
Marszałkowska 145,
w Warszawie.

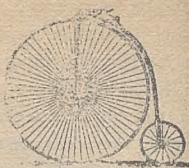
Magazyn zaopatrzony w wielki wybór najmodniejszych krawatów po cenach fabrycznych.



w ratach tygod.
po kop. 50.

Bicycle od rs. 100, Rowery angl. od rs. 150, Tricycle angl. od rs. 150, Welocypedy dziecinne, **Przybory do Welocypedów**, Wyżymaczki „Empire,” Widelce, Noże, Scyzoryki, Brzytwy i narzędzia ogrodnicze, polecają **J. Hilknier i S-ka**, Warszawa, Krakowskie - Przedmieście 5, (róg ul. hr. Berga).

Poszukują się Agenci. — Cenniki gratis i franco.



w ratach tygod.
po rs. 5.

Newskie



News

NASZE PERFUMY

wyrobiane wyłącznie przez

Warszawskie Laboratorium Chemiczne

dorównywiają przymiotami najlepszym perfumom angielskim, będące o 40% od nich tańszymi. Dostać można w 15-tu pięknych zapachach.

Tomilek (Hellotrop).
Konwalia majowa.
Fijolok.

Rozwoń (Magnolia).
Róża mehowa.
Zamroczenia (Ixora).
Świeże siano.
Storczyk.

Rezeda.
Szczęśliwość.
Bodziek różany.
Przepyszln (Gardenia).
Kalina ordowni.

Jedyna cena flakonów oryginalnych 40 kop.

Dostać można: 1) Róg Miodowej i Senatorskiej, 2) Krakowskie-Przedmieście Nr. 1, 3) Róg Granicznej i Królewskiej, 4) Nalewki Nr. 31.

Nagrody z Wystaw za skuteczność:

Warszawa 1885, Warszawa 1886, Kraków 1887, Symferopol 1888.

!!TYSIĄCE ŚWIADECTW!!
PEWNY ŚRODEK
„EXSICCATOR”
OSUSZA WILGOĆ,
ZABEZPIECZA DRZEWO OD GNICIA GRZYB
KA i t.p. — BROSZUR
KA ILUSTROWANA
BEZPŁATNIE
POSZUKUJE
AGENTÓW.
Wyn. Inż. G. Ritter.
KRÓLEWSKA 39.

Uwaga. Upraszam o zwrócenie uwagi na markę fabryczną, gdyż wiele pojawiło się falsyfikatów.

Kotzebue Nr. 2,
w Warszawie.
Magazyn Ubiorów Dziecinnych
S. Przezdzieckiego
ul. Kotzebue Nr. 2
(róg Wierzbowej).

PERSPEKTYWKI TEATRALNE I POLOWE

ze szklami achromatycznymi,
oprawne w skórę, kość słoniową,
konchę perłową z korpusem niklowym, oksydowanym lub aluminowym, w wielkim wyborze
po cenach najniższych w Magazynie Optyczno-Mechanicznym

Juljana Drehera

Szpitalna 6, w Warszawie.

Uwaga. Zakład otrzymuje stale binokle i okulary z zagranicznych fabryk w najświeższych fasonach i gatunkach.

WYSZEDŁ 6-ty ZESZYT

WIELKIEJ Encyklopedyi Powszechnej ILUSTROWANEJ

S. SIKORSKIEGO

opracowany przez najznakomitsze siły naukowe i literackie, zawierający 24 rycin i jedną tablicę chromolitografowaną.

W ciągu roku wyjdzie 24 zeszytów, stanowiących 3 tomy.

Cena każdego zeszytu w Warszawie 50 k.

Na przesyłkę pocztową dopłaca się 10 k. od zeszytu.

Prenumeratorzy, opłacający odrazu należność za rok cały, czyli za 24 zeszytów (3 tomy), nie ponoszą kosztów przesyłki, zapłacą więc tylko rs. 12, zamiast rs. 14 k. 40.

Redakcja i administracja Chmielna Nr. 30.

Wina Krymskie i Zagraniczne
ORAZ
COGNAC
KRYMSKI
analizowany jako prawdziwy
wyrób z wina i przez
powagi lekarskie
zalecany.

Lepszy na cele lecznicze, niż Koniaki francuskie, z których największa część z powodu wyniszczenia winnic przez filokserę, tworzy się ze spirytusu kartoflanego.

Tańszy, gdyż nie ciąży na takowym wysokie cło i transport około 2 rs. z butelki, otrzymać można wyłącznie

w Składzie Win
BRACI KEMPNERÓW
Długa Nr. 5.

Cena: 1/1 but. rs. 1,50, 1/2 k. 80, 1/4 k. 40. Skrzynki po 6 butelek wysyłają się do wszystkich St. Dr. Ż. franco w Królestwie po rs. 9.

F. Drechsler
Warszawa,
Leszno 14.



ROWERY od
rs. 125—250.
BICYKLE od
rs. 100—220.

Używane welocypedy od rs. 50.

Sprzedaż
Płótna, Kretonów, Perkali, Haftów i Bielizny damskiej
Hoża Nr. 14, Br. Jabłkowski.

GLÓWNY SKŁAD ZAKŁADÓW ŻYRARDOWSKICH

w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście Nr. 55,

poleca w wielkim wyborze

MATINÉES, SZLAFROCZKI, KAFTANIKI, BLUZKI
i Płaszcze od kurzu,

z różnych lekkich materiałów, podług ostatnich modeli paryzkich wykończone.

Modele paryzkie niżej ceny kosztu,

Materiały na płaszcze półjedwabne, wełniane gładkie i w paski, w najnowszych kolorach i odcieniach.

Zefiry, Satynki, Batysty i Fulary fantazyjne,
po cenach niskich lecz stałych.

Zarządzający Składem Żyrardowskim **L. Bułakowski.**